



Nur_Kornel Maliszewski

kornel

maliszewski

/nur/

© Copyright Kornel Maliszewski

Skład, treść: Kornel Maliszewski

Projekt okładki: Piotr Macha

Dotrzeć do Nowej Rudy

Chyba było po deszczu, słońce drążyło drogi w korytarzach kropel. Za wcześnie na jeżyny, spróbowałem kilku, ale szybko wypłułem. Musiały jeszcze chwilę odczekać, aby zacząć komukolwiek smakować. Wracałem do domu, szosa z tych spokojnych, pachniała po deszczu. Raz na dwadzieścia minut srebrzyste auto przejeżdżało obok. Chciałem coś złapać i wreszcie dojechać do domu, ale straciłem już kilka okazji i szedłem powoli poboczem. Szybko zerwany szum, potem krótka bryza, krople płyną po ciele. Las pachniał tekturą, na której rosły grzyby, rzeżucha na wacie, złapać grupę strzępek, cierpki smak, turlanie się po ściółce, grudy śmieci, puszki wyżarte przez czas. Szkoda, że w każdym lesie ktoś już był, cieknie żywica, krasnorosty, czubki drzew jak długie trawy, ktoś przejeżdża grzebieniem, czesanie psów, wybieranie kłaków, jak rzeżuchy z waty. Kopanie kamieni, strzał słońca, dwa prześwity, daleko za górą łaska boża, podobno tak to się nazywa. Cichy szum w oddali, auto nie jechało za szybko. Turkotanie, słychać każdą część maszyny, kamyki biczą o opony. Ruszyłem ręką porozumiewawczo, wiedziałem, że się zatrzyma. Szybka się uchyliła.

– Gdzie byś chciał?

– A gdzie pan jedzie?

– Ja pierwszy spytałem – już się wkurzył, nawet w środku lasu musimy mieć rację.

– Gdzieś na zachód bym chciał.

– A dokładnie? Nie mam całego dnia.

– Wrocław? Kłodzko?

– Jadę do Nysy.

– Może być Nysa.

– Siadaj z tyłu, z przodu mam syf.

Jechaliśmy dość spokojnie. Spytał skąd, dokąd, czy student, czy dorbab. Uderzał palcami o udo do taktu z radia. Choinka zapachowa tańczyła.

– Też kiedyś próbowałem studiować, wiesz, zarządzanie, potem politologia. Tylko ci wykładowcy to idioci, jeden na dziesięciu jest zaangażowany, reszta to odbębnić i do domu. Jak ja bym tak pracę wykonywał, to by mnie wyjebali, prosta sprawa. Wiesz, ile oni mają wakacji? Szkoda gadać, lepiej tam w ogóle nie chodzić.

Jechaliśmy, oczywiście znów było po deszczu, w radio gitarki, chyba lepsza stacja, dźwięki oblepiały kierowcę, wyglądał, jakby się z nimi zgadzał. Nawet harmonijka, lepki teksas.

– Wiesz, ja tam wierzę, każdy w coś wierzy, jeden w kamień, drugi w boga, trzeci w prezydenta, to prosta sprawa, ale ja do klechów to nie będę, kurczę, łaźni. Znajomego mam, za miastem ma taki zajazd, wiesz burdelik. I jak mi ten księżul tam co tydzień przyłazi. Taką jedną rudą sobie wybrał i obraca. I ja ma tam chodzić do niego? W mordę mu patrzeć? No, przepraszam bardzo, bez jaj. Płacić mu mam? Żeby sobie dobrze poruchał? No, kur, przepraszam bardzo.

I znowu patrzenie na horyzont, ktoś obraca obrazy, wybrać obiekt, gdy z równa się z okiem – ciche „boom” przez zęby. Świat wybucha na którejś z płaszczyzn. Grzebanie w głowie, pierwsze wspomnienie, wysyłanie sond do początku, co się musiało stać, aby tutaj być, wielka ręka gładziła pagóry, gruby paluch przyspieszał tempo, usta kierowcy tańczyły salsę, ślinka staje, ktoś podstawia kosz, wpadają na ściółkę obrusu. Wielki paluch znów przyspiesza tempo, kombajny buszują, rzepak wciągany nosem. Maszyny parowe, dwa bochny chleba spadają na podwórze, ktoś dodaje niemiecką nazwę obok polskiej.

– Wie pan – wreszcie się odważyłem – mi się wydaje, że po śmierci już nie będziemy mieli wpływu na świat.

– No, kurczę, proste! Mnie jakoś umarli nie straszą, nie wiem, jak u ciebie.

– Ale drogi panie, nie o to chodzi. Będziemy jakoś żyć, ale już bez wpływu na świat. I to będzie ten wielki dramat. To, co pan wypracuje przez życie, to pana suma myśli, ludzi, scenografii, obrazów i tak dalej. I po śmierci nie będzie już więcej, zbieranie skończone, filmowy klaps. Koniec wpływania na cokolwiek. Uniwersum zamknięte. I już tak do

usrania. Może sobie będzie pan pluł w brodę, czemu do Afryki nie pojechałem?! Może zacznie pan koczować tutaj na tej drodze? Ale prawdziwych aut nie będzie, świat zostanie daleko, nawet go już nie będziemy mogli zobaczyć, żadnego kontaktu, wszystkie linie zerwane. Taki pana mały, prywatny, przytulny świat. A wszyscy aktorzy jak duchy.

– Nie strasz mnie tu takimi wizjami, ja wolę czarny ekran i spokój, i tyle.

– I wie pan co? – złapałem za jego siedzenie, włożyłem głowę do przodu i gadałem z przejęciem. – Zwierzęta będą miały raj, dla nich będzie nieśmiertelność. Pomyśl pan, taki kot mieszka z jakimś dziadkiem, ruch ograniczony, całe czternaście lat ta sama miska, dom z drewna, stodoła, armia myszy, no, założmy tak z pół hektara życiowej przestrzeni. I co? Kot pada za stodołą, dziadek płacze, futro wysycha na słońcu. A gdzie kot? W swoim uniwersum, które wypracował, a ono jest dokładnie takie samo jak jego życie! I co jest w tym najlepsze?

– Co?! – kierowca krzyknął i dodał gazu.

– On nie zdaje sobie sprawy, że umarł!

– Że niby jak?

– Żyje pierwszym życiem instynktownie, a potem wieczna pętla w doskonałej bajce, nigdy nie rozpozna, że dziad to tylko jego duszek z głowy!

– Jasny chuj, to mój kot teraz jest w szóstym życiu?! Ja dla niego nie istnieję?!

– To nie tak! Weź pan zrozum... – już chciałem tłumaczyć, ale krzyknął:

– Już Nysa! Gdzie wysadzić! Łeb mnie rozboleł od tego pierdolenia!

– Na tej na Kłodzko, coś złapię.

Terkotałem już następnym. Udawałem, że śpię. Wąsaty kierowca czasem wyrwał mnie z gry krótkimi uwagami.

– Marudzą, że u nas są złe drogi. Jak na Słowacji jeździłem albo Rumunii, to tam trzeba drewnianą łyżkę wsadzić w zęby, żeby języka nie ugryźć. Robiłem w holenderskiej firmie, czapka pełna pieniędzy, sześć klocków wyciągałem, teraz to gówno, jeszcze ten pajac się bawi wiekiem

emerytalnym, zwariować można, ja to z pomorskiego jestem, trzy kilometry do morza miałem, ale akurat poligon tam był i zakaz kąpiei. Kto to zrozumie? Musieliśmy rowerami cisnąć ponad dychę, żeby się pokapać. Swoją to poznałem, o tak, jak ciebie. Do ciotki jechała okazją. Zabrałem, takie tam podśmiechujki. Na pierwszym zajeździe już miałem rękę pod sukienką. Za pięć miesięcy ślub. Życie miało smak, a nie...

Wysadził mnie w Nowej Rudzie na moście, ze trzydzieści metrów od domu. Nic nowego, tylko kilka sklepów zmieniło branżę. Na bruku trochę bajzlu z roślin, musiało popadać, a studzienki znów zapchane. Klucz mi gdzieś zginał, paluchem uderzałem w domofon.

– Stacja Nowa Ruda – odezwał się głos matki, lubiła takie żarciki.

– Ale schudłeś, jaki opalony, opowiadaj jak było! Ja po pracy chodzę z kijkami, zebrało się kilka pań. Ostatnio schodziłyśmy i był zachód słońca. Piękny widok, rosa, czerwone i fioletowe odbłaski w lesie. Przepiękna jest ta Góra Anny. Szczególnie latem, nie ma dymów nad miastem. Mogliby już zainstalować te filtry na kominach, są dodatki z Unii przecież. Może zrobimy kolektory słoneczne na dachu werandy? Nie, nie, daj plecak gdzieś indziej, kupiłbyś sobie nowy, co? Brudny cały, dziurawy dół, na pewno ci coś wypadło. Zjedz coś i do roboty, wiesz, ile propozycji dostałam? Codziennie mam ze trzy albo cztery. Ustalmy jakiś termin, dobra? Do niedzieli, zgoda? Bo wiesz, ja codziennie dostaję kilka mejli z ofertami współpracy, może konkurencja cię czegoś nauczy? Wiesz, ja dalej się tu czuję trochę obca, jak się przyjedzie skądś, to nie ma szans, żeby tą obcość jakoś zniweczyć, zawsze będzie, takie piętno. Ja z nimi nie chodziłam do podstawówki, nie grałam w paletki, nie byłam u bierzmowania. Nie ma podstaw.

– No i mów, jak było? Dlaczego nic nie opowiadasz? Co zrobiło na tobie największe wrażenie? Co ciebie zmieniło? Co mógłbyś polecić? Cały plecak książek, co przeczytałeś? Polecasz coś? Ale wiesz, biblioteki są pełne książek. Siedem życ by ci nie wystarczyło, aby to przeczytać. Kurzy się to wszystko, a i tak już nikt praktycznie nie czyta. W latach dziewięćdziesiątych to jeszcze tak było, że po NIKE ludzie przychodzili i pytali o rzeczy nagrodzone, ale teraz to już nikt nie przychodzi. Widziałeś kota?

Znowu mi wczoraj przynosił gałązki, ja go wypuszczam, a on mi się tak odwdzięcza. Chcę coś dodać do wspólnego budżetu, a ty? Mam nadzieję, że się złożymy na prąd, co? Bo to nie ma tak, że przyjeżdżasz, siedzisz na tyłku i nic nie robisz. No i jak tam było w tym Beskidzie, co?

Leżałem na werandzie, jeden ptak zawsze ćwierkał ze skarpy, na pewno to nie jest ten sam, co kiedyś. Które to już pokolenie? Który odpalony motor i pętla? Kawałek lasu w środku miasta, czasem po deszczu wypłukuje zardzewiałe monety, apteczne buteleczki. W ścianach są na pewno jeszcze stare lalki, szmaty i gazety. I znów myśl, żeby poznać wszystkie historie z miasta, każdy kawałek, każdy ruch, dialog, powód uderzenia, powód upadku na schody. Wszystkie zdrady małżeńskie, kradzież węgla, krzyk w nocy jak pisk zranionego ptaka. To na zewnątrz musi na nas wpływać. W czarnej serpentynie kamienic rodzą się bulgotnicy (?), czegoś chcą, wachają wiosenne wiatry, potem się denerwują, że wciąż są takie same. Ich dzieciństwo ich obrzydza, inni je kochają, chcą żeby wybuchło, chcą, żeby rozkwitło, zniknęło w przestrzeni późniejszego życia. Chyba niczego nie ma w nirwanie patrzenia na swój palec, chyba coś jest w tamtym o kaloryfer, falowaniu rękami i wyrywaniu małych kęp traw. Miasto serpentyny, czy to godne wychowywać się gdziekolwiek? Głowa się zwęża, szybka kamera przejeżdża po drzwiach komórek, numer 9, 8, 7, K, M i B 2076, napisane już tylko na kilku drzwiach, dzieciństwo wybuchła, historie dalej się nie ujawniają, pośpiesznie wyrzucony kamień tworzy witraż w chmurze, deszcz pada szkłem, Clint Eastwood wożony na inwalidzkim wózku, je lody, gadamy o egzystencji, dobrze Nowa Ruda wygląda w tym filmie, oczywiście w czerni i bieli.

Wyprawa na targi

Czytałem „Zazi w metrze” w pociągu. Dopiero na 23 stronie autor mnie zabrał ze sobą, przekupił światem, zbudował most, nalał życia do postaci, był dźwięk i ponieśliśmy się razem jak na helu. Wracałem kilkakrotnie do strony 23, co takiego się wydarzyło, że nastąpił przełom? Może się zbierało, a 23 to ten moment przełomowy, moment przelania? Albo coś tam takiego było, że nastąpił przewrót. Ciekawe jak to jest z życiem, w którym momencie uznajemy, że to jest właśnie to i rzucamy się w nurt, rzucamy się w toń? Od 23 strony bawiłem się świetnie, ale widziałem, że autor nie przesadzi, będzie bawił się konwencją i tak dalej, ale nie rozerwie sprawy na strzępy, nie poleci pierze i flaki, nikt nie zgwałci Zazi. Dlaczego gdy ma się już czytelnika na widelcu, nie pójdzie się do skraju wytrzymałości? Dlaczego następnych sto stron nie opisuje zbiorowy gwałtu na Zazi? Wszystko by ją gwałciło, Zazi by ją gwałciła, ale to jednak nie ta historia.

Pociąg piszczał szybkością, proste rytmiczne przerwy, cienie krajobrazu, wspomnienia, wyjścia do niebytu. Odrzut głowy pomiędzy rzeczywistością, jawą i snem. Często widzę wtedy, że zjeżdżam na nartach i wjeżdżam na muldę. Dobrze, że trafiłem na szybę. Otrzeźwiałem, miła pani z naprzeciwnika porozumiewawczo się uśmiechnęła. Miała ładnie ułożone kanapki, pewnie zaplanowała podróż, piękne były jej małe rutyny, które pozwały odpowiednio pociąć skórkę życia. Znów spad w sen, ostatnie chwile to widok wnuczka, robiącego ze starszej pani mały, przenośny przyrząd do zabaw. – Babuniu, daleko jeszcze? – odbiło się echem. Przerwany obraz, zaczęła się historia, jak psuje się konwencję?

Wesoła rodzinka z Lubuskiego wyjeżdża na wakacje do rodziny mieszkającej w małym miasteczku na Śląsku (to jest Dolny Śląsk, kutasiarzu! My nie mówimy gwarą!). Podwórko jest nieładne, wybebeszony kosz, śmieci, stary obkręcany fotel od komputera. Bawią się tam, strzelają kapslami po piwie. Mają aparat cyfrowy, ktoś dostał na komunię. Wy-

głupiają się. Seria zdjęć w folderze „Wakacje we Lwówku Śląskim”, widać na nich wybebeszony kosz, czubek wieży kościoła, stary fotel od komputera i wiele roześmianych twarzy. Nadymają policzki, pokazują czasem środkowe palce, robią sobie rogi nad głowami. Dni tak mijają. Kamil, najstarszy syn rodziny z Lubuskiego, zaczyna coś podejrzewać, gdy widzi na ścianie w bramie „Uważaj na nocę G”. Pyta ojca rodziny z Lwówka, o co chodzi z nocami G. Mężczyzna chwilę się jąka, mówi, że to takie żarty i szybko wychodzi z pomieszczenia. Założmy, że ktoś daje się złapać, wchodzi w świat, bohaterowie są może niepapierowi, a potem się zaczyna. Połączenie śmiechu i wzrodu. Straszni górnicy z byłych kopalni węgla brunatnego wciąż tam mieszkają, nie opuszczą mamki-kopalni. Zdziczyli jednak, śpią na brudnych świńskich skórkach. Wąchają metan, który ich zmienia, garbią się, kaszlą, są źli i chcą... Kamil i brat nie mogą zasnąć, kręcą się w łóżku, księżyc nad Lwówkiem Śląskim błyszczy, anteny satelitarne wycelowane w ten sam punkt pertraktują z księżycem. Kamil szepcze do brata, żeby wyjść na dwór z latarkami i pozwiedzać zakamarki nocą. Młodszy brat się boi, ale nie chce wyjść na tchórza i decyduje się pójść. Przecinają mrok i ciszę kreską latarki, kilka brunatnych kotów okręca się wokół trzepaków, kwiaty paproci zniknęły wiele wieków wcześniej. Nagle ciche szuranie, coś się dzieje, chmara niewidzialnych nadbiega, chłopcy są otoczeni. I to właśnie ci zdegenerowani górnicy nadbiegli z pobliskiej byłej kopalni węgla brunatnego. Jest strona 23. Chłopcy wyszli na dwór, robią cichy szus po Lwówku. Książka ma 142 strony. Od 25 bandy szalonych górników drapieźnie gwałcą chłopców. Skaczą z rynien bez spodni, wychodzą z kanałów, spadają z drzew. Na 25 stronie jest godzina 23:52, na początku strony 142 – 6:11. Właśnie przywieźli chleb do piekarni, niektórzy dawno wstali, musieli jechać robić u Koreańczyków pod Wrocławiem. O 6:34 wstanie ojciec chłopców, aby kupić Super Express, Przegląd Sportowy i paczkę mocnych, ale tego już nie będzie w tej książce.

Znów zryw. Babci i wnuczka już nie było, zamiast nich siedziały dwie nastoletnie dziewczyny. Zabawnie układały się ich nogi od kolan do bioder. Z dekady na dekadę te trójkąty są coraz dłuższe. Opowiadały sobie

o festiwalach wakacyjnych, gdzie warto się wybrać. Miały miłe głosy i wydawały się być rezolutne i mądre. Nie wiem, z jakich drzew jadły owoce zdrowego rozsądku i pragmatyzmu. Wspominałem ranek, bardzo smacznie spałem, gdy ktoś zabrał mi pośpiesznie kołdrę.

– Synu! Targi są dzisiaj w Katowicach! Jedź na nie, przygotowałam ci książki. Sprzedasz codziennie po kilkanaście, potem sobie będziesz mógł gdzieś pojechać za pieniądze z książek. No? Co ty na to? Dawaj! Nie ma co spać! Patrz, jaki świat jest piękny. Siedzisz po nocach, przesybiasz całe dnie, kto będzie za światło płacił? Słońce jest za darmo.

– Nigdzie nie jadę, po górach chciałem pochodzić, może coś napisać.

– Co, znowu te ciemne historyjki? Świat jest za piękny, człowiek po pracy chce usiąść i czytać prawdziwą piękną historię. Piękną narrację ze wzgórzami, śniegiem, trawą w słońcu, jędrne postaci, miłe przesłanie.

– Trzeba umieć nawet w syfie zobaczyć coś wzruszającego.

– Kiedyś to zrozumiesz, że już tyle zła i brudu na świecie, że nie ma co go powiększać, rozumiesz? Możesz leczyć historiami, ludzie pragną piękna, światła, są już chorzy od brudu i nienawiści. Jak coś można zrobić dobrego dla ludzi, to nie ma się co ociągać. To co, jedziesz na targi?

– Nie, kurwa, nie! (Obiecałem sobie tym razem, że nie będę kłął na matkę).

– No, dawaj, sprawdziłam ci pociągi, każdego tytułu po pięć egzemplarzy ci zapakowałam, stoisko opłacone, będziesz musiał tam wszystkiego popilnować. Autorzy są dogadani, tylko byś się tam poopiekował? No co?

Góry powoli znikwały wraz z turkotem pociągu, pisanie się rozpląnęło, rozlało się w Wordzie i cieknie po stole. Ciekawe, czy nastolatki chciałyby ze mną gadać? Niby tyle nas łączy, oczy mamy, głowy mamy, a i tak się pewnie nie dogadamy. Ich czubate noski wyglądają tak, jakby ktoś odmierzył je łyżeczką. Trochę mniej! Trochę więcej! Jeszcze poprawić koło ust! Musiałem się w wpatrywać, zapamiętać na długo, wyrwać uda z posad. Dwie torby podróżne z książkami leżały na górze, cholernie ciężka jest ta literatura. Wyjąłem sobie wcześniej kilka sztuk i próbowałem poczytać. Nie doszedłem do 23 strony. Jedna nazywała się przeszczep jęcz-

miennych uczuć. Opowiadała o szczęśliwym małżeństwie. Szczęśliwym do czasu, bo mąż uległ wypadkowi w pracy. Nie przestrzegał zasad BHP. Spadł z wózka widłowego prosto do kanału, którego nie zasłonił jego kolega Siergiej. Chłopa nie wybroniły nawet związki zawodowe i wyleciał z zakładu z hukiem, ale nasz bohater został ze swoją niepełnosprawnością. Żona często mu powtarzała, miłość sprawdza się tylko w trudnych czasach, nigdy się nie rozstaniemy (gdy leżeli razem na kocu w dorzeczu Pisy, gdzie pierwszy raz się kochali bez prezerwatywy), ale gdy przywieźli go z rurkami w ciele, nie była już tego taka pewna. Jednak postanowiła zostać z ukochanym. Akcja powieści rozgrywała się w 2076 roku, co dawało szansę na uratowanie gościa. W tamtych czasach drukowanie zastępczych narządów było sprawą naturalną. Za posag żony kierownika widłowego wózka mógł liczyć na wymianę uszkodzonych narządów. I tutaj pojawił się problem. Żona zaczęła rozważać (w dorzeczu Pisy, bo tam jeździła skuterem myśleć nad życiem), czy mąż z wymienionymi narządami to wciąż jej mąż? Jak można kochać obce narządy? Obce ciało? Przecież to całkiem inne komórki zdecydowały się na pierwszy seks bez prezerwatywy w dorzeczu Pisy. Doczytałem jeszcze kilka stroniczek, jedno zdanie mnie zainteresowało: „Krzyczał, już z prawie odnowioną nogą, Siergiej, chuj! jak zabierasz mi żonę, to zabierz też moje kalectwo, gdy zobaczył kochaną małżonkę pod nogę z byłym kolegą z pracy”. Wciąż nie mam pojęcia, jak sprawa się skończyła, bo doczytałem do 22 strony.

Znów się zerwałem, chyba już Chorzów, nastolatki wymieniły się na przystojnego mężczyznę, pewnie byłego sportowca.

– Przepraszam, mógłbym pożyczyć książkę? – spytał czule

– Niech pan lepiej tego nie czyta.

– A co, takie złe?

– Wariactwo.

– Jednak spróbuję.

– Proszę bardzo, może pan sobie tę książkę wziąć, wrócę chociaż z jedną mniej.

– Dziękuję panu, ciekawa okładka, coś jakby przeszczepiane serce na tle jęczmienia? Przeczytał pan całą?

– Oj nie, góra 20 stron.
– To panu opowiem, jakby co.
– Chyba niestety się nie uda, bo wysiadam w Katowicach.
– Niech się pan nie martwi, cztery kursy szybkiego czytania zrobiłem, zdążymy.

– Ja jeszcze sobie chwilę pośpię, proszę mnie obudzić w Katowicach.
– Dobrze.

Wielki papież szedł ulicami kamiennego miasteczka, spojrział na wystawy sklepów, jakby inne, więc musiał być to sen. Szybko się otrząsnąłem i złapałem się jego sutanny. Zrobił sobie rolki z matyzów i jeździł ulicą Piastów. Wspinałem się powolutku na jego plecy i dotarłem do ucha.

– Panie Wojtyła, demoluje pan moją ukochaną ulicę rodzinną.

– Katowice już! – zaczął krzyczeć, a ja szybko się przebudziłem, zobaczyłem byłego sportowca, złapałem za torby i zacząłem biec w kierunku drzwi. Sportsmen nie odstępował mnie na krok.

– I wie pan, żona jednak nie opuściła męża, bo wie pan, on wymienił sobie też mózg, a że był solipsystą, to wymienił sobie też ją – szeptał mi do ucha.

Obudziłem się jeszcze raz. Przystojny mężczyzna czule gładził mnie po policzku.

– Dobrze, że się wyspałeś, już Katowice, Wake up, we're here. Why are you shaking? Are you ok? Wake up. We're in Morrowind.

– Muszę biec, wsiąść – złapałem ciężkie torby i wyskoczyłem z pociągu.

– Wie pan, jednak nie dokończyłem książki, ale chyba skończyło się na tym, że ten człowiek zaczął wymieniać możliwość wymiany, coś takiego – przystojniak mamrotał przez szybę pociągu do tłumu na peronie.

Uciekaj, człowieczku, uciekaj

Patrzyłem beztrosko w jarzeniówki. Jak się je wyrwie i walnie w coś, to leci pył, kto wie, czy nie toksyczny. Ludzie przechodzili obok, szum, z którego nie można wyłowić ani słowa. Sztuczne światło, biel, specyficzny rozciągnięty uśmiech i tumult, głos, tumult, pociągi ludzi. Tak mniej więcej wyglądają targi w Katowicach. Wtuliłem się w kącik, żeby mnie nikt nie widział i słuchałem czytanych przez głośnik ciepłych słów. „Na stoisko A-14 zaprasza Wydawnictwo Pucio, oficyna z Bielska Podlaskiego, wydawca znanej serii marynistycznej Żegluga i Kapary, „W okolicach wyjścia D-2 zgubiła się dziewczynka, nie mówi po polsku, wygląda na Chinę...”

– Hehe, to pewnie Czikulinka – dosiadł się do mnie jeden z autorów.
– Masz tu herby albo co innego? Czytałeś moją książkę?

– Jęczmienne uczucia?

– Nie, nie, to nie moje. Moja jest o wzgórkach łonowych? Czytałeś?

– Jak to o wzgórkach łonowych? Poradnik?

– To nie czytałeś, ale to nic straconego. Masz tu jeden egzemplarz – wsunął mi go szybko pod pachę. – Akcja się rozgrywa na wzgórkach łonowych.

– Mocno ograniczyłeś przestrzeń.

– No i czemu się tak tu chowasz, co? Dziwnie wyglądasz, pewnie ten tego, co?

– Co ten tego?

– Słyszałem, że lubisz przyładować.

– Nic nie lubię.

Wstałem i zacząłem się kręcić, cała sala wymieniała uwagi, identyfikatory błyszcząły w świetle lamp. Ślizgałem się na wypastowanej podłodze, ale szybko mnie ktoś upomniał. Tłumek rzeczywiście schylał się nad małą Chiną. Traktowali ją jak zwierzątko i ciągnęli za warkoczyki, szczypli w policzki. Głowa bolała od jasności. Jak wysypane białe ryzy papie-

ru, przejazd po krawędziach, przecięcie oczu cielaka, krew tryska, czerwone ryzy papieru. Nagle metodycznie odbijana piłka, najpierw od ping-ponga, później większa, bit tworzony szurnięciami butów do koszykówki, lecące czarne olbrzymy, książki rozszarpywane, ktoś z szablą tnie rozdziały, spis treści wchodzi w kręgosłup, każdy rozdział to krąg, wypływ puentę. Język na klej, olej opałowy z encyklopedii, ile to wszystko wytrzyma, jak domino, domy z kart, kto odpalił pierwszą racę, Cervantes z namaszczeniem podpala trotyl, grupka ucieka za kaktusy, pierwsze dotknięcie wielkiego domina, coś jak blok na trzydzieści osiem pięter, ale tylko z jedną klatką.

I znów byłem przy właściwym stoisku. Przejeżdżałem rękami po kontuarze, z plakatu uśmiechali się do mnie ludzie piszący, wystukujący nerwami palców, hops, hops, raz, dwa, trzy, palce to żołnierze, bronią ego, bronią granic, przemyt na granicy świadomości, chłopcze, aha, tytuł następnego tomu. Ktoś grał w pieniądze. To zbójnicka gra, palce krwawią, brudzą klawiaturę, spięcie. Poczułem rękę na ramieniu.

– Czytałeś moją książkę? Kapitalne dialogi z bogiem, który przedstawiony został jako niższy urzędnik. A zgadnij, kim jest diabeł?

– Trudno powiedzieć.

– Diabłem jest sam czytelnik.

– Czytałeś moją książkę? – drugie ramię zostało zajęte.

– Czytałem.

– I jak?

– Życiowa.

– Masz na myśli coś w rodzaju realizmu magicznego?

– Co mi pan poleci – ktoś obrócił mnie w tańcu – chcę dużo seksu i to nie tandetnego, zastrzegam.

– Mam tu coś dla pana, nazywa się Głosy Kuty – podałem mu książkę

– A kim jest Kuta?

– No, kutas.

– A miało nie być tandetnie!

– No to jest przecież Kuta.

Biel nie może chrząścić, reflektor w ogniu, nie, to blade światło, tak jakby w ognisko wsadzać żarówki, potem jeść folię, skakać na bąblach z przesyłek kurierskich. Kochać się w wacie szklanej, potem wyjmować to papierem ściernym. Oszołomiony sikałem do pisuaru, nawet do niego wsadzili kawałki plastyku z literkami. Oblewałem od A do D. Twarz zanurzona w wodzie, chlust do środka, rzeško, jak Maorys w którejś z reklam. Obok pojawił się człowiek, bardzo uśmiechnięty. Złapał mnie za ramię, ale to inny typ obłapiania, nie filuterne towarzyskie głaski, tylko przyjacielski uchwyt.

– Co, nie możesz tu?

– Ocipię zaraz.

– Chcesz, to chodź, jadę stąd zaraz, auto mam tam przy parku zaparkowane.

– Nie mogę, muszę tu siedzieć, coś sprzedać.

– Jakby co, to od wyjścia kieruj się w prawo, jest bank i spożywczy, tam przesmyk, lasek parkomatów, i tak naprzeciwko parku.

– Dzięki, nie mogę, trzeba odcierpieć, może się kiedyś spotkamy.

– Nie chcesz numeru?

– Jak się mamy spotkać, to się spotkamy.

– I tak żartowałem, nie mam żadnego telefonu. – To lecę – ale zatrzymał się jeszcze na chwilę. – Też lałeś na literki, ich doszczętnie posrało?

– Od A do D. Jakbym skakał po pisuarach, oblałbym cały alfabet.

Podanie dłoni i znów wyplułem się w toksyczną biel. Co ten Cervantes szalony, wypuścił z łapska kulę do kręgli, jak to jest biec na beczcze, nie dostać się pod spód. Kartka się składa, to jest rulon, do ust przyłoż, prze-rażający krzyk, jak zwierzę, stado bawołów, bizonów tratuje stoiska, bic czasu świszczy, Czytaliście moją książkę? – zapytała pani z głośnika. – Jeśli nie, to jest do znalezienia u mnie w kantorku. Napisałam o uczuciach, miłości, przyjaźni i gniewie. Cholera, jest dobra jak pies rucha!

– Naprawdę wyglądasz nietęgo, idź się odśwież, popilnuję wszystkiego – zaproponował autor Wzgórka łonowego.

– Dzięki wielkie, i jak tam ci się układa?

– No, cholera, wiadomo, że nie zarobię na tym pisarczykowaniu,

łapię zlecenia, chwilę w gazecie wędkarskiej porobiłem, trochę u Szweda, w tartaku nawet pomagałem, co tam, trzeba sobie jakoś radzić.

– Trzymaj się – klepnąłem go i poszedłem posiedzieć na murku przed halą.

Żałowałem, że nie palę. Jak się nie pali, to niewiadomo co robić samemu na murku, w obcym mieście, przy obcej hali, z której lały się potoki bieli i pewnie szaleństwa. Auta powoli krążyły po rondzie, to chyba był dzień wzajemnej przyjaźni, nawet psy chodziły niczym w zegarku, liście miały swoją marszrutę, żaden jeszcze nie opadł. Pierwszy zrobi to 2 września, wpadnie do plecaka okolicznego łapserdaka. Liść mocno wytrze się w żarnach zeszytów i podręczników (2 września chłopak jeszcze będzie je miał, dopiero pod koniec miesiąca spali je z kumplami), i osiadzie jako zielona miazga na dole plecaka. Będzie to podstawa do zawieszenia gnojka, dyrektor uzyska pewność, że plecakowy miał to marihuana. Kto by pomyślał, że jeden z liści, który się stroszył, będzie wączany przez dyrektora, który kiedyś weźmie mnie na stopa i o wszystkim opowie?

Pewne rzeczy robi się szybko, co przychodzi wtedy na myśl? Wystrzelwane przez toster grzanki? Strzał z bicia grubego Hiszpana ubranego w ludowy strój? Kapiszony? Początek biegu na sto metrów? Upadek na lodzie? Łamiące się kości, przejazd ławki, która uderza o brzuch? Wbiegłem szybko, przecięcie bieli, jak przejazd noża przez lepki ser. Złapałem tylko jedną torbę książek, ktoś próbował mnie złapać, były nerwy, świst, przyspieszony oddech, uścisk w czaszce. Drugą rękę miałem wolną, złapałem w nią małą Chinę, która wygrzewała się w słońcu, czekając na tłumacza, konsula i dobre dni. Bieg przez szczelinę między bankiem a spożywcakiem. Pogoni chyba nie było. Parkomaty w szeregu jak posadzone, metalożer od dołu może je połykać jak marchewki. Auto miało już odjechać. Zapukałem szybko w szybkę, zobaczyłem dziki uśmiech, wrzuciłem Chinę na tyły, sam usiadłem z torbą z przodu i puściliśmy się bakiem z piskiem ku północy, na razie asfaltem, ale potem szutrem i obłokami kurzu.

Jazda na północ

Śmiałyśmy się głośno, auto rwało przestrzeń, radio było muzycznymi palcami, wystukiwało cicho na świetlnej tablicy, wygrywało z nami w warcaby, uszy przypominały rurę, a co było niepotrzebne, wylewało się za auto jak gnojówkę. Chinka z tyłu wyglądała na zrelaksowaną. Ile mogła mieć lat?

– Tak pewnie z dziewięć – odpowiedział towarzysz, jakby słyszał moją myśl.

– Nie wiem, jak tam oni dojrzewają na Wschodzie, może trzeba dostosować ciało do planu państwa.

– Miły dzieciak, co nie?

– Pozna z nami Polskę, znajdziemy jej chłopca na północy, jakiegoś jurnego żylaka. Zajmie się nią odpowiednio, będzie nosił na ramionach, pokaże jeże, jagody czy Tamagotchi.

– To się nazywa multi kulti – mój kompan pogłodził auto i mocno przyspieszył radio.

Sunęliśmy, autostrady luster? To chyba nie to, iglaki bulgotały na poboczach, małe zajazdy syczały, słońce pukało do wiejskich zajazdów, cztery brony zostawione jako pomniki, horyzont wygrywał z fizyką, rozpędzony bąk, butelka i ruletka, a my kulką, która uciekała na północ.

– Wiesz co – druh zaczął. – Ostatnio myślę o życiu i poczułem, jak bardzo nowy jestem w sprawach śmierci, żadnego przygotowania, trzeba by było osiąść jak orzeł na drążku i nadczekiwać...

– Kojarzysz ten motyw – przerwałem mu. – Człowieka oddanego sprawie? Kosmonauta, prowincjonalny policjant, naukowiec. Ile widziałem takich filmów. I wiadomo, że na zewnątrz toczy się piekło, asteroidy nadlatują, fabryka wybuchła, zmutowane zwierzęta gryzą ludzi, ale człowiek oddany, który poświęci życie, ma czas, aby wrócić do domu, chwilę się przespać, budzą go dzieciaki, wskakując mu na klatkę piersiową, krzycząc tatusiu. Później je spokojnie śniadanie, stoi z kubkiem kawy

i patrzy przed siebie mglistymi oczami. Nawet czasem odsłoni frankę, a w ogrodzie już szaleją zombie, ale ma ten moment! Moment zatrzymania, miłości w ciepłym gniazdku, bycia u siebie, mimo że świat go wzywa, aby zgładzić. Ja tak widzę to nasze życie.

– Te filmy spaliły ci mózg, ja tam sądzę, że życie to zbieranie, ale możliwości są ograniczone, tak jak w grach RPG, masz plecak i ilość miejsc jest ograniczona, tak samo level i umiejętności. I ile ugrasz, tyle bierzesz ze sobą w wieczną podróż. Nie ma sekwów, a potem strzela DMT, tak samo jak wystrzeliła u Kennedygo, Che Guevary, Wojtyły, ale ty ich nie spotkasz, to będzie tylko twój filmik – mówił z przejęciem, a ja czułem, że kiedyś coś podobnego czytałem. Trudno już się wzajemnie zaskoczyć.

Jechał chyba za szybko, ale nie chciałem go upominać, byliśmy coraz wyżej i zaczynały się piaski w lasach, tam tony bakterii, język brudu i lepkości, żółte węże, strzelające kciuki gałęzi, gdy wzmagał się wiatr, pokazując kawałek niebiesko-białego, kłębiastego nieba. Myślałem o czym pogadać z moim nowym przyjacielem, chciałem go zaskoczyć świeżą myślą, ale potem ugryzłem się w głowę, po co próbować komuś imponować? Po prostu pływamy i wierzymy sobie, jako jedno ciało.

– Jak ty w ogóle masz na imię? – spytał.

– [tutaj podaję swoje imię]

– Ale gejostwo! Może czas na zmianę?

– Od urodzenia tak mam, jeśli się można przyzwyczaić do zajęczych warg, to do imienia też, a co nadane, to chyba święte.

– Jak ja miałem 18 lat, to od razu wymieniłem imię i nazwisko, nie będę się poddawał zajebanemu losowi. W ogóle za dużo tych nazw, skończmy z tym, las to po prostu las, ulica to ulica, każdy wsadzi swoją podkładkę. Wybierz sobie lepiej jakieś inne imię.

– Pomyślę, zobaczymy – powiedziałem i oddałem Chince na tyły paczkę z książkami, bo zaczęła ciążyć mi na kolanach.

– Co to za książki? Ciekawe jak latają z okien?

I już rozrywaliśmy szary papier i przez otwarte okna szybowwały świeciste tomiki. Rwały się na asfalcie, wpadały do rowów melioracyjnych,

wkręcały się w szprychy wolno jadących rowerów. Ludzie złorzeczyli, niektórzy brali je do rąk, dziwili się, pukali w głowy, ciskali je jeszcze dalej, kończyli rozrywanie, dawali je pod buty i stepowali na nich do utraty tchu. Zapamiętałem dobrze jedną scenę. Roześmiana Chinka z zepsutymi mleczakami, w swojej białej sukience, wyrzuca przeszczep jęczmiennych uczuć przez okno. Transplantowane serce na tle jęczmienia szybuje jak nosek z klonu na tle prawdziwej pszenicy.

– Ale zostaw kilka! Musimy mieć, co czytać – krzyknął kumpel, a ja w ostatniej chwili zatrzymałem kilka sztuk przed nieroztropnym wyrzuceniem.

– To czytaj, chłopie, czytaj!

Ociągając się wzięłem do ręki trzy ostatnie publikacje, jedna czerwona, druga żółta, trzecia zielona. Spojrzałem na Chinę, wydało mi się, że mówi do mnie w swoim niezrozumiałym języku ładnie pasowałyby na mojej chińskiej półeczce, gdzie widzę z rana, jak startują samoloty zasłaniając wschodzące słońce. – Nie, dziewczynko – odpowiedziałem jej także w niezrozumiałym języku. – Książka to coś więcej niż kawał tektury do usadzenia na najwyższej z szafek – paplałem, sam nie do końca wierząc w to, co mówię.

Były to wiersze, z uśmiechem na ustach zacząłem czytać:

Ona dzisiaj odkryła słowo pasylgrasias, znasz pissing moja mała, moc to tylko zbiór kulek, nie patrz na niego jako na sznyt, szcur, ścieżkę, ale deltę w kacze oddanej szybko, gdy moi niemądry kuzyni powoli odchodzili w małym ogrodzie zapomnienia. Ona odkryła wczoraj słowo pasylmontaż, ucieczka z niezwiązanym krawatem boli, buty uciskają, jakby to był ostatni marsz, wielki pochód ku pauperyzacji, tańczmy, wystawiamy łby za okna, kastel gandolfo to tylko słowa, nie nauczę się go jutro, skillfread tak nazwę psa, mój syn spyta, co to znaczy, bo koledzy się śmieją. Ja nie będę wiedziała, po śmierci poznam słowo kistenbaum.

– W sumie sam nie wiem, czy to wiersz – zakończyłem. – Chyba forma pośrednia, musimy wysłać list do ekspertów.

– Zrozumiałeś ty coś z tego?

– Ja zrozumiałam – odezwała się Chinka po polsku. – Chodzi o to,

że słowa zabijają nas powoli, ich ilość dzieli nas do końca, jesteśmy w nich uwikłani, zamknięci. Zauważam nawet arcytrudne pytanie dotyczące tego, czy słowa są moralne?

– Ja tam tego nie zauważyłem – odrzekł mój druh. – To była tylko zabawa w budowanie przestrzeni, widziałem szpital ze swojego miasta, często tam bywałem, bo trzy razy próbowali wycinać mi migdały. Kupę godzin przesiedziałem na ławeczce w przyszpitalnym parku. I właśnie tam z nudów wymyślałem sobie nowe słowa. O tym jest ten wiersz.

Chinka się obraziła i przestała mówić po polsku. Ja szybko schowałem tomiki do schowka, skoro wywoływały takie poruszenie, kłótnie, zmiany i zapominanie języków w jednej chwili. Położyłem nogi do góry, znajomek z boku zaczął śpiewać kołysankę w rodzaju śpij, Chinceczko-choineczko, śpij, co dobrze mu wyszło, bo mała po trzech minutach spała jak supełek (może susełek), wtulając się w niewidzialne misie, porzeczki, słodkie twarze.

– Dobrze, że ją uśpiłem, bo to czas zabicia konwencji.

– O czym ty gadasz?

– Sam zobaczysz – uśmiechnął się zwodniczo i dodał gazu.

Niebieskie wygrało z białym, ostatnie gąbki chmur rozplywały się w niebieskim kakao, las był coraz bardziej suchy, piach cierpki, cienkozarnisty, iglaki przypominały zapałki powtykane w styropian, oddech przyjmował pierwszy żar tego lata, tak musi pachnieć w kwiatach ciernistych krzewów.

Zatrzymaliśmy się przy leśnym zajeździe, ktoś zostawił zielony termos na stole, wylaliśmy zawartość, chyba połączenie herbaty z rumem, i rzucaliśmy go do siebie. Ogień z nieba podgrzewał igiełki, gdzieś wielka matka mrówka rodziła stado wilczków. Termos upadł daleko w krzaki, poszedłem go poszukać, a przy okazji się odlać. Zielony przyrząd wpadł w gówno, cały las był nim usiany. Ciekawe czy wiedzą, że według pewnych filozofii zostawili tu siebie i będą tu cały czas, dopóki nie wyschną, przemknęło mi przez głowę. Potem pomyślałem chwilkę na temat rozporzeczki, jak to właściwie jest, kto przez niego leje, a kto zdejmuje całe spodnie. Wracałem wesoło, odgarniałem ostatnie krzaczki, a widok na zajeździe...

Śpiąca Chinceczka z opuszczonymi spodniami leżała na drewnianym stole. Mój kompan powoli gładził ją po udach. Zastanowiło mnie, jak tak mała dziewczynka może mieć już zarost łonowy, ale szybko uderzyłem myśl (która spadła w krzaki) i pobiegłem ratować sytuację.

– Wchodzisz pierwszy? – zaśmiał się, gdy już miałem wyrzucić go na ziemię.

– Coś ty odjechał? – leżałem na jego klatce piersiowej i lekko dusiłem.

– No o co ci chodzi? Złaż ze mnie! Patrz, jaka jest słodka – spojrzałem instynktownie na małe buciki dziewczynki, które podrywały powiewy wiatru.

– Wiesz, ile ona ma lat? Widziałeś jej oczy i te lekko spróchniałe ząbki? Nie widzisz, ile ma jeszcze życia przed sobą? Chichotów, może tragedii, zbierania wesoło awokado, pierwszych niewinnych romansów na insta? Co ty chciałeś z nią zrobić?!

– Sam chciałeś złamać konwencję!

– To tak się tylko gada – zląłem z niego i spojrzałem jeszcze raz na jej oczka, lekko unoszące się wargi (za których wystawały spróchniałe zębiska) i klatkę piersiową oraz jej wzgórek łonowy, z pstrokatymi kępkami włosów, którego nigdy nie chciałem widzieć.

– Weź ją, kurwa, ubierz i zapakuj z powrotem.

– Ciota jesteś, mocny w abstrakcji, a jak przyjdzie, co do czego, to srasz po sobie.

– A weź spierdalał! – usiadłem przy drewnianej ławie, patrząc na mokre kółeczko, które zostało po zielonym termosie.

– A jak myślisz – znów się zaczął śmiać, gdy wracał z auta. – Dziewczynka wołałaby być zgwałcona, czy zgwałcona i zabita?

– Zamknij się już.

– Jak tam chcesz, nie przeszedłeś testu konwencji.

– I bardzo dobrze.

Siedzieliśmy na drewnianej ławie, powoli słońce traciło na impecie, odpływała sytuacja sprzed chwili. Czytaliśmy wyryte na ławie napisy. Najczęściej Kasia kogoś kochała. Drzewa ugiwały się pod naporem powietrza, wydawało mi się, że rzucają w nas zniewagi. Leśnej widowni nie spodo-

bały się nasze grzechy. Wymienialiśmy uwagi o ostatnich filmach, książkach, sytuacjach z życia. Las grał na harmonijce, połączył się z melodią z radia, dzięcioł urządzał windę dla robactwa, dżdżownice układały się jak sudoku, cała ściółka zapładniała się, rodziła, robiła podkład następnym, sznur aut wydawał się już dużo mniej istotny.

Drzwi z tyłu otworzyły się, wyszła Chinczka, uśmiechnęła się do nas, podbiegła i zaczęła się przytulać. Wydawało mi się, że mówi do mnie: dobrze spałam, śniło mi się czyste piękno, pola mokki i dyliżansów, lecące żurawie.

Miejsce

Wycieraczki mogłyby ścierać słoneczny kurz z szyb, małe owady rozgniatały się na masce, oddawały swoje kończyny, odwłoki, ostatnie tchnienia, coś jak przedśmiertny pisk w małym szpitalu, potem pośpieszne ruchy pielęgniarskich kłapek, zmartwiona mina, binokl i wjazd do świata marzeń. Grałem z Chinką w kalambury, ona ciągle chciała naśladować pieski i króliki, ja wołałem Terminatora i Chłopaków ze Słonecznego Patrolu, ale jakoś udawało nam się dogadać. Podobno było już coraz bliżej, powietrze, mimo intensywnego skwaru, pachniało jakby inaczej. Jakbyśmy byli w pęcherzyku żółciowym małej rybki złapanej na haczyk. Mieliśmy jechać w las, w pewne miejsce. Tyle tylko mogłem wyciągnąć od druha, który stał się w ostatnich godzinach bardzo tajemniczy. Pi pi pi – odezwała się moja komórka, spojrzałem, a tam napis matka.

– Róbcie gwar – krzyknąłem do towarzyszy i odebrałem telefon.

– No, hej, synku, jak tam targi? Mów, ile sprzedałeś, co? U nas ostatnio padało, nie uwierzysz, ale znów zapchały się studzienki i cała ulica była zalana. I jak te targi? Tak samo ładne jak w tamtym roku? Już cię tam widzę, młody przystojny wydawco książek, na pewno dziewczyny się kręciły wokół stoiska, co nie? Aj, słyszałeś o pożarach we Włoszech? Dziesięć osób zginęło, straszna tragedia, mam nadzieję, że do nas nie dojdzie. I jak tam targi? Co tam tak mało ludzi? Dziwny szum... co ty autem jedziesz?

– Sprzedałem wszystkie przeszczypty jesiennych uczuć – zacząłem krzyżeć, gdy tylko wyrwałem kawałek ciszy. – W ogóle całość książek się prawie rozeszła, poleciało niezłe. Nasze stoisko to hit targów, naprawdę. Fantastyczny wystrój, ta futurystyczna biel, naprawdę jest wspaniale!

– Wiedziałam, ja mam zawsze dobre pomysły, słuchaj mnie, a razem daleko zajdziemy. Wszystkich zainspiruję do pięknych spraw. Wczoraj u mnie w bibliotece była dziewczyna, płakała mi w rękaw, że studia skończyła, a pracy nie ma na prowincji. To ja do niej co ty umiesz robić, na

czym się znasz. A ona, że nie wie. To ja jeszcze raz naciskam. Wreszcie wycisnęłam z niej, że malowała ładnie w podstawówce. To ja do niej raz, dwa syna mi namaluj ze zdjęcia za pięćdziesiąt złotych, wiesz, które zdjęcie, to na tle góry Anny, jesteś w czerwonej koszulce. No i ona na drugi dzień mi przyniosła obraz, naprawdę pięknie wyszedłeś!

– Mamo, mamo, coś przerywa, czytelnicy nacierają, muszę kończyć, cześć! – i zakończyłem szybko połączenie.

– Cholera, weź to wyłącz, nie będą nas dręczyć w środku lasu – kompan próbował wytrącić mi telefon, ale szybko sparowałem jego uderzenie.

– Spoko, już wyłączam – zrobiłem, co powiedziałem i schowałem plastikowe, głuche pudełko do schowka.

Las się zagęszczał, jechaliśmy dziką, szutrową drogą. Gałęzie włożyły do auta, chciały robić ostry masaż głów. Chinka chichrała się jak oszalała, zdzierła liście z drzew, chyba czuła się jak w domu.

– Za pięć minut będziemy.

– Gdzie my w ogóle jedziemy?

Druh już się nie odezwał, a ja dałbym się pociąć, że Chinka mówiła wujaszkanie, daleko jeszcze?

Pachniało trocinami, droga była rozjechana końskimi kopytami, słyszałem ich rzenie, mechaniczny ruch głową, dzieciństwo znów wystrzeliło kilka strzał, które wyszły ustami. Zapomniałem wyjąć przed wakacjami kanapki z serem i sałata, a we wrześnie przywitał mnie pyłek pleśni, jak naciśnięta purchawka. Zrzućane pniaki, toczące się w dół, labirynty górskich dróg, klęczenie w liściach, rzutki śpiew dwóch kantaków. Znów się coś przypomina, rzucony harpun na starą skałę, wyglądanie za nią, tam tańczą narodziny (ale czyje?), brokuły to drzewa, baki mężczyzn wyglądają jak Afryka, geograficzne statystyki wysypują się z trzaskiem, cztery węże ze starych gier mijają celu (czym właściwie była ta kropka?), uderzają w ściankę i wibrują przedśmiertnie.

– Jesteśmy – usłyszałem przyjacielski głos z boku, zmieszał się z drącym się radiem. Zobaczyłem drewniany zniszczony płotek, trochę wysokich roślin, kępy barszczy Sosnowskiego, i wyłoniło się trawiaste podwórko, a za nim niewielkie jezioro upstrzone trzcinią. Dalej stał

drewniany domek, kilka szop, kamienny las, granatowa próżnia, astronomiczny ruch palcem, rzuty zieleni.

Stanęliśmy przed drewnianą bramą. Wziąłem Chinkę na ręce i powoli przesuwałem się trawiastym wybiegiem. Druh tylko się uśmiechał i robił gest w stylu patrz na to, a nie mówiłem, że będziesz szczęśliwy. Z chatki i z roślinności wysuwali się zaskoczeni mieszkańcy. W większości brodaci, opaleni, w starych zniszczonych ciuchach, wyglądali tak, jakby mieli się rozsypać, spłynąć do retorty, oddać się oddechowi, który zmiotłby ich w wiry niewielkiego jeziora. Pomyślałem, co to za wylęgarnia hippisów, i chyba też zareagowały usta, bo kompan się wkurzył i tylko wycharczał przez zęby sam jesteś hippis.

– Patrzcie, kochani, przywiozłem kolejnych wykolejeńców – powiedział ze śmiechem i wskazał na nas.

Ludzie podchodzili, wymienialiśmy uściski dłoni, krótkie sformułowania, chyba nikt nie lubił tu za bardzo mówić. Odprowadzili nas do stołu, Chinka dostała swój niewielki stołek. Widać, że wszyscy polubili jej inność, dotykali jej włosów, patrzyli w oczy. Było kilka arbuzów, mięso (chyba dzicyzna) i sporo chleba. Druh wymieniał uwagi z jednym z mężczyzn, ktoś mnie lekko szturchnął. Odwróciłem się w bok, patrzył na mnie człowiek, wielkie dzikie oczy pomiędzy kolorem rozbitych farb, ryb i błota. Nie miał kilku zębów, ale wyraźnie mu to nie przeszkadzało.

– Miło cię widzieć, masz ładne oczy – szepnął. – Dlaczego tu jesteś? Co ci się popsuło? Kiedy i dlaczego wypadłeś? Oddaliłeś się?

– Nie wiem na razie, o co chodzi, popływałbym w jeziorze, jechaliśmy cały dzień, kiedyś może ci coś konstruktywnego odpowiem.

– Nie, nie! Konstruktywne to najgorsze, niech płynie prosto bez żadnych ubrań i dodatków, wiesz, my tu bardzo nie lubimy nazywać, niech rzecz będzie rzeczą, gdy zaczynasz bawić się w dodawanie słów, niepotrzebnych określeń, świat znika i błednie. My tu bardzo nie lubimy nazw.

– W porządku, pokapałbym się, Chinka mogłaby tu chwilę zostać?

– Wiadomo, oczywiście, ona jest najlepsza, mówi po swojemu, niczego nie chce, jest artystką życia, jest naprawdę piękna, widziałeś jej włosy?

Wstałem i znów się rozejrzałem, wszędzie stały, walały się drewniane

rzeźby, niektóre nieskończone, przedstawiające naturę, diabły, fantasmagorię, dzikie arabeski. Zobaczyłem druha niedaleko, patrzył w wodę i coś gadał do siebie. Podszedłem do niego i cicho szepnąłem: Gdzie ty mnie, kurwa, zawiozłeś? Co to jest? Sekta? Jakieś hippisowskie popłuczyny? Słowiański szamanizm?

– Jak nie chcesz, to wypad – stuknął mnie palcem w czoło. – Ale ja bym ci radził zostać kilka tygodni, zobaczysz, będzie tylko lepiej. Zawsze mogę cię odwiedzić na pociąg, ale nie można już bardziej przegrać.

Rozejrzałem się jeszcze wokół siebie, domek miał już swoje lata, szopy się rozpadały, wszyscy byli szarzy, utaplani w sepii, błocie, kurz ich oblepiał, zmieniali nawet sobą kolory traw. Ostatnie słońce zachodziło za jezioro, tworząc parkan światła i ciepła na szczycie chaty, ktoś wyjrzał z okienka na strychu i strzelił kilka razy z palców w moim kierunku. Promienie odbiły się o jego czaszkę i rzeźby wiszące na ganku.

Szedłem po niedługim pomoście, wszystko jakby uciхло. Dochodziły do mnie tylko czasem bezbarwne pomruki, śmiech jak z dna butelki. Każdy szczebel drewnianej konstrukcji był wytarty przez zachłanny czas, na niektórych wymalował ktoś węglem drzewnym solarne znaki, czy co to tam miało być. Chłód wraz z szarym mrokiem przywitał mnie w wodzie. Zanurzyłem nogi, potem spadłem do wody jak listek. Trzymałem się linii szuwarów, nartniki uciekały w popłochu, dwie rozgniewane kaczki uniosły się i oddaliły o kilkanaście metrów. Woda jak sukno nasączone olejem, niebieska pięść uderzała w ciało, łuki wody odchodziły, pętle, koła, wiele kropel scalonych, rozerwanych, scalonych. Niesłyszalny, wodny gwizd wielkiej twarzy, która patrzyła z dna. Śpiewała kojące piosenki, ciecz masowała, odchodziła, brała za łeb, kąsała czarnym ruchem warg. No i byłem spokojny, o coś chodziło, tafla wody zaiskrzyła żółtym ogniem. Podpłynąłem do pomostu, zaczynało płonąć ognisko, oni wszyscy cicho mruczełi, śpiewali, nieprzebrana ściana czerni strzepywała na mnie nocny tynek, odbiłem się jeszcze kilka razy w ciężkiej wodzie i wskoczyłem na pomost.

Ognisko

Ogień trawił drewno, dymy skakały, dziwne twarze oświetlone białymi kółeczkami z błogością patrzyły w żółć. Wielki płomień, jak tort z dziesięcioma warstwami, wysyłał ciepłymi podmuchami niewidzialne balony w bezzwłędną noc. Wszyscy cicho szepotali, omawiali różne sprawy, co pewien czas nastrój rozstrajały chichoty z czerni, z szuwarów, zza tysięcznej kurtyny, czarny dzwonek wygrywał i dzielił ciemność na plasty. Dosiadł się do mnie przyjaciel – i jak woda – szepnął.

– Dobrze, naprawdę dobrze, wydawało mi się, że coś w niej mieszka, że nie byłem sam, coś musi mieszkać w tych szuwarach – poczułem, że ciało już wyszło pod ubraniami dzięki falom ciepła.

– Gdy idziesz nocą przez ciche miasto, nie dziwisz się myślom że ktoś może tu mieszkać, po prostu mieszkają.

– Powiedz mi – odezwałem się po dłuższej chwili. – Ty jesteś względnie normalny, nie tak popsuty jak oni, o co w tym wszystkim chodzi? Oni są chorzy psychicznie?

– Jestem tu najkrócej, może od poprzedniego lata. Niektórzy z nich siedzą lub przyjeżdżają tu już kilkanaście lat. Każdy ma swoją historię. Szukają wolności...

– Wolności... – parsknąłem, ale szybko się zawstydyłem, bo kilka osób spojrzało na mnie z wyrzutem.

– Przestań analizować, rób po prostu, co chcesz – już druh miał mówić dalej, ale ktoś zaczął opowiadać historię. – Jeśli chcesz, to też coś opowiedz – zdołał jeszcze szepnąć mi na ucho.

Mężczyzna lekko się uniósł, bawił się rękami, gestykulował, wykorzystywał ruchy ognia, wszyscy reagowali: oburzeniem, śmiechem, pomrukami. Cień opowiadającego odbijał się na ścianie domu. Nadstawiłem ucho i zacząłem łapać z namaszczeniem wypowiedane frazy.

Długo mieszkał na drzewach, jadł jaja przepiórek, jedno jajo kręcił długo w rękach, ogrzewał, wiedział, że odbiera życie, aby żyć samemu.

Miał palce zakrwawione od wspinania się na drzewa, kawałki kory odskakiwały, inne wbijały mu się pod paznokcie na wiele dni, powodując niewyobrażalny ból, idący do samego serca. Siedział na kamieniu, był to czas trzech księżyców, które spokojnie wisiały na sznurach gwiazd. W plecaku miał kilka jajek. Wyciągnął zaostrzony patyczek, maczał go w czerni i malował na jajkach nocne niebo. Las mu się przyglądał, czarne jajka odbijały jego szkliste oczy. Garść gwiazd spadała za górą, niebieskie zmyzy pojawiały się na nocnym niebie. Mężczyzna wyjął z sakwy czaszkę, była to chyba czaszka kobiety (kobiety – mruknął tłumek przy ognisku). Wziął w rękę jedno z już czarnych, przepiórnych jaj, podniósł na wysokość księżyc, a później wetknął je w martwy oczodół. Po chwili zrobił to samo z drugim, wstał, podniósł czaszkę na wysokość. Patrząca na niego gwiazdami, chyba się uśmiechała. Sznur komet ich połączył, zawiązał im knykcie, poniósł ze sobą. Szybowali w nocnym niebie, widzieli biel, czern, niebieskie przepaści. Gwiazdny atlas gładził ich po głowach, trzymali się za ręce, trzy księżycy odstąpiły im miejsca. Zza widnokręgu wyłaniała się powoli biała kula, kilka ptaków zaczęło skwierczeć, czarny wiatr wystrzelił tysiącem kolorów. Nad lasem zaczynał się ranek, na błocie pojawiło się kilka nowych stóp. Las patrzył z niedowierzaniem, skwar wygrał z nocnym niebem.

Tubylcy długo debatowali, omawiali historię, a do następnej rozgrzewał się chyba człowiek, którego poznałem przy stole. Kilku z nich dorzucało do ognia suchych igieł, ogień je rozstrzeliwał i ranne rzucał wysoko w czern. Kawałki popiołu wisiały w powietrzu, butelka krążyła w okręgu, niektórzy coś palili. Zaciągnąłem się kilka razy, zrobiłem trzy łyki, coś na podobieństwo spirytusu z owocami. Mężczyzna lekko powstał, pomruczał, zaczął opowiadać.

W wielkich termach w Budapeszcie w 19 wieku pracował chłopiec imieniem Laszlo (zdziwiłem się, że historia przeniosła się do miasta, ale było coraz milej, łączyłem się w jedno, atawizm, atawizm, atawizm tylko tyle potrafiłem sobie cicho wypowiedzieć). Zawsze musiał po zamknięciu basenów je wyczyścić. Zebrać cały brud, wpuścić czystość, dodać wiele kropel aromatycznych olejków. Mieszkał w budynku term w małym poko-

ju wydzielonym w piwnicy. Idąc do niego, przechodził obok beczek win z knajpy Newerlego. Czasem mu pomagał, gdy ten miał zbyt wielu gości. W pokoju Laszla stało łóżko, stół, kilka książek i jego mała roślina, chyba kawa, która szukała słońca w ciemnym pomieszczeniu. Roślina była karłowata, jej liście przypominały zaledwie źdźbła traw. Chłopak przed snem, gdy przeczytał już swoją partię tekstu wielkich filozofów (głównie monistów), wpatrywał się w ten krzak kawy. Delikatnie dotykał jej liści, dmuchał i patrzył, jak uginają się pod jego oddechem. Zawsze z rana, gdy wstawał w swojej klitce (nigdy nie widząc słońca), urywał dwa liście i podczas dolewania do basenów olejków aromatycznych, cicho wrzucał je w toń wody. Robił tak już od wielu tygodni, ale liści wciąż było pod dostatkiem.

Pewnego ranka Laszlo wstał, zrobił poranną gimnastykę, umył twarz w umywalce, urwał swoim zwyczajem dwa liście i udał się do pracy. Wymył wszystkie podłogi, pootwierał drzwi i zabrał się do wlewania olejków aromatycznych. Ciężkie butle z brązowego szkła odebrał z szafki; pamiętaj, Laszlo, po osiem kropel przemknęło mu przez głowę. Jedna, druga, trzecia, czwarta (wszyscy przy ognisku zaczęli liczyć z opowiadaczem), piąta, szósta, siódma, ósma. I tak w każdym z basenów, a w największym... Chłopiec wyjął dwa liście z kieszeni i powolutku wypuścił je z rąk. Wirowały, opadając dostojnie na taflę cieplej wody. Laszlo nie mógł się spodziewać, że zza kolumny podgląda go dyrektor term. Gdy chłopak miał już odchodzić, dostojny pan złapał go za ucho.

– Kogoś chciał otruć?! Działasz na zlecenie?! Ja ci wygarbuję skórę (wielki pas świsnął nad ogniskiem).

Chłopak siedział na niewielkim komisariacie. Syn Newerlego (który lubił Laszla, razem się wychowywali) powoli stukał w klawisze maszyny do pisania.

– Laszlo, proszę cię, mów prawdę, jak sprawa pójdzie dalej, oni już nie będą tacy mili jak ja.

– Ja nic nie zrobiłem, nikogo nie chciałem otruć!

– Dyrektor dokładnie widział, że dorzucasz coś do wody, powiedz, co to było, oszczędzi nam to ekspertyzy, dostaniesz niższą karę.

– Ja naprawdę nic nie zrobiłem! – chłopak beczał.

W tym samym czasie do pokoju chłopca wpadło dwóch grubych funkcjonariuszy i dyrektor term.

– To pokój tego gamonia, rozejrzyjcie się!

Policjanci zaczęli rozrzucać pościel, kopnęli pod ścianę krzesło, rozsypali książki, a jeden z nich mocnym zamachem uderzył roślinę kaw, aż dwa liście opadły na stół. Donica zakołysała się na brzegu drewna, a jakiś niewidzialny podmuch strącił ją na ziemię. Skorupa pękła z trzaskiem, a jeden z policjantów dogniół ją obcasem.

– Laszlo, na miłość boską, mów prawdę! – krzyczał młody Newerly.

– Ja naprawdę, nic... – chłopak chrząknął i opadł na podłogę, uderzając głową w kamienną posadzkę.

Przy ognisku zawrzało, jak to ktoś się wydarł my kochamy te małe rzeczy ktoś inny tupał leżąc na plecach.

Ogień bił niebo, czarny mikroskop, mała plamka, tam w dole biel. Szary krąg ludzi, w jednym ramieniu, płomień strzelał jak na kciukach, żar opalał twarze, gorący dotyk, suche gardło. Wszystko tłoczyło się jakby w szklanej kuli, dachówki na domu wykrzywiały się, czułem węża z podziemi, druh łapał mnie za ramię i śmiał się w głos. Zacząłem myśleć, co by tu opowiedzieć, może o gwałtach górniczych we Lwówku? Nie, to nie to. Fabuła jęczmiennych uczuć? Nie, lepiej szybko o nich zapomnieć. Trzeba połączyć kilka filmów, które widziało się w podstawówce, w jedną całość, dodać książkę przygodową, dwie myśli, gdy leżało się na łące i pierwszy raz coś płynęło w głowie, określić przestrzeń, może lepiej oddać się instynktowi? Motyw, motyw, motyw, dobrze znaleźć skarb, nie powiedzieć o nim innym, wziąć do domu wróbla, opatrzyć mu skrzydło. Samotne mieszkanie, lepiej tylko jeden pokój, tam stara szafa. Są swetry z molami? Za szafą dziura? Wyjście na balkon? Rozpościera się podwórko, matki z wózkami. Patrz lepiej przez okno, długa ulica, naprzeciwko knajpka. Serwują tam kanapki z serem i z dżemem. Jest tam kobieta, ukradła płaszcz? Była w kinie? Film zmienił jej życie? Chciałaby z kimś o nim pogadać? Szafa grająca się zepsuła. Dwóch chłystków uderza w nią ze zdenerwowaniem. Chińczyk na barze, a właśnie, gdzie moja Chinka?! A dobrze, śpi mi na kolanach. Kobieta widzi w oknie potok ludzi, o czym

oni myślą? Ktoś serwuje grzanki, w szklance rozpuszcza się tabletki na ból głowy. Patrz w nią! Patrz w nią! Po schodach toczy się kłębek, dwie osoby się schylają, uderzają głowami. Wysypują się książki, pierwsze spojrzenie w oczy. Po ulicy pędzi auto, ktoś wraca do domu albo chce z niego uciec. Dwóch panów ma złe zamiary (w kieszeni noże dłuższe niż sześć centymetrów). Dawaj banana pie krzyczy jeden z nich do Chińczyka. Kobieta jest podniecona to są ci prawdziwi mężczyźni, myśli.

– Co maleńka? – mówi drugi.

– Byłam na filmie, zrobił na mnie spore wrażenie.

– Romans gangsterski?

– Dramat obyczajowy w małym miasteczku, ktoś woził na wózku inwalidzkim Clint Eastwooda po kamiennych uliczkach. Jedli lody i galdali o egzystencji.

– Nudy – krzyczy drugi i rzuca banana pie na stół.

Wentylator się nagle psuje, światło gaśnie, po kolei wygaszają się kolejne dzielnice.

– Jesteśmy ugotowani – krzyczy jeden chłystek spod maszyny, która nagle zaczyna działać. – Jest nas tylko jedenastu, a trzeba osądzić Chińczyka. Podobno zaszytował dziewczynę z naprzeciwka. Za szafą miała dziurę, a w niej małe pisklaki.

– Nikt dzisiaj nie będzie nikogo sądził – mówi mężczyzna od banana pie dyplomatycznie. – Dzisiaj się pokochamy, za dwadzieścia minut zaczyna się kino samochodowe.

– Ja już dzisiaj byłam na jednym filmie, nie mam ochoty na następny, Chińczyk jest na pewno niewinny, dziewczyna miała dziurę w czaszce zbyt wysoko, nie dosięgnąłby.

– Właśniiii – krzyczy zainteresowany. – Cio byś się napił? – pyta barowego chrząszcza, który ledwo co się trzyma i wystarczy mu jeszcze tylko jeden drink.

Z szafy grającej leci Suzie Q, bejbi I love you! (śpiewają nagle wszyscy przy ognisku). Ja to mówiłem? Mężczyźni się zaśmiali, druh klepnął mnie w udo. Ogień się powoli wygaszał, niektórzy już chrapali, woda wyostrzyła taflę, może już świtało.

– Znajdź sobie z Chinką jakieś miejsce w domu, legnijcie gdzieś.

– Dobra, dobra – krzyknąłem oszołomiony.

Noc przegrała, widać było kontury drzew, potknąłem się dwa razy o którąś z drewnianych rzeźb. Chinka spała jak supełek przewieszona przez moje plecy. W domu w kompletnej ciemności wywracałem się o leżące ciała, w rogu zobaczyłem kawałek wolnej przestrzeni. Lekko zdjąłem dziewczynkę z pleców, położyłem się na starym kocu, sprytny, chwytny azjatycki podłotek wtulił się we mnie i powoli uciekaliśmy w sen, który wykluwał się daleko ponad dachami lasów i miast.

Ogierman

Obudziłem się z suchością w ustach, belki domu były spróchniałe, dziury po sękach wpuszczały kanały światła, a w nich pływały pyły. Wszyscy zniknęli z pomieszczenia, zostały po nich śpiwory, stare koce, przecieradła, kawałki papieru, koszule, listewki, narzędzia. Na zniszczonych ścianach wisiały niechlujne obrazki, przedstawiające lasy, z których wykluwały się postaci, diabły, fauny, biblijni święci. Reszta była schlapana farbami, zapisana węglem drzewnym. Z podwórka dochodziły ciche śmiechy, powoli przebijałem się do wyjścia, brodząc w zasianej wszystkim podłodze. Wyszedłem na ganek, zaczynał się późny ranek. Lekkie fale jeziora pamiętały wschód słońca, na brzegach osadzały się jeszcze jaskrawe fioletowe i pomarańczowe obrysy. Energiczny wiatr ruszał szuwarami, kładły się przed nim, oddawały hołd nowemu dniu. Chinka siedziała na stołeczku pośrodku podwórka i pokazywała kilku mieszkańcom, jak plecie się trawę. Patrzyli na nią z błogością. Reszta przechadzała się to tu, to tam. Niektórzy czytali pojedyncze wyrwane kartki z książek. Inni cicho dyskutowali, kilka osób patrzyło w mocno niebieskie niebo albo odmierzało palcami ruch słońca.

Wypatrzyłem przyjaciela wylegającego się na starym leżaku i podszedłem do niego. Podnosiłem wstydliwie rękę, witając się z niektórymi mężczyznami. Odpowiadali wesoło swoimi gestami, a jeden z nich dziwnym zwyczajem postrzelał chwilę z palców jak z broni automatycznej.

– Jak u ciebie? – klepnąłem druha i usiadłem obok jego leżaka.

– Zastanawiam się nad kilkoma sprawami. Nie mogłem spać całą noc, a jak zasnąłem nad ranem, miałem sen. Pierwszy raz od bardzo dawna.

– U mnie nic, tylko kilka urywanych scen; ogród, pomniki, krótka wybetonowana uliczka, a co się u ciebie działo?

– Nie był za długi, widziałem swój dom, mieszkaliśmy za miastem, wokół głównie łąki, niebieskie kwiaty. Mój ojciec ciął drewno, ja patrzy-

łem na ścianę lasu, który był w oddali. Z czubków zerwał się ptak. Przeciagliwy pisk, jak u tych dużych, wiesz, orła czy sokoła. Leciał dostojnie, ja przyglądałem się cieniowi podążającemu po łące. Wreszcie ptak zniknął, chwila przyśpieszenia, smród spalenizny, gdzieś pod samym lasem trawy zaczęły płonąć.

– Widzisz to? – spytałem ojca.

– Nic nie widzę.

Spojrzałem jeszcze raz, ale ognia wcale nie było. Potem jeszcze kilka scen z wnętrza domu, płyty mojej matki, długie schody, gramofon na strychu, stare paletki, zeszyty z podstawówki zapisane od góry do dołu. Pukałem w wiekowe belki strychu, za oknem przeleciał ptak, jego cień przeszył wnętrze domu. I to tyle. Obudziłem się prawie jako ostatni. Jeszcze tylko ciebie widziałem zawiniętego w bety, męczyłeś się we śnie, przewracałeś z boku na boku. Nic ci się na pewno nie śniło?

– Tylko kilka obrazów z ogrodu, nic więcej.

– Przyszedł do nas list – zaczął po chwili. – Rządka sprawa, człowiek, który opowiadał wczoraj o chłopaku z Budapesztu, chyba zdążyliście zamienić kilka słów, chciałby z tobą pogadać. Chyba chodzi o ten list.

– On jest w kimś w rodzaju nadzorcy tej szalonej bandy? Co, hierarchia nawet tu dotarła?

– Przestań, po prostu najdłużej tu siedzi, więc reszta czasem go słucha.

– I jaki ja mam związek z tym listem?

– Nie strosz się, luz jest, trzeba sobie tu miło być i nie wchodzić drugiemu w drogę.

– Dobra, dobra... widziałem kilka łodzi w szuwarach, nikt ich nie używa? Popływałbym sobie po jeziorze.

– Był tu podobno taki, potem uciekł którejś nocy, sam potrafił robić łodzie. To chyba jeszcze po nim zostało.

– Dlaczego nikt ich nie używa?

– Ogólnie to ja dawno nie widziałem, żeby ktokolwiek wchodził do wody, patrzą tylko na taflę i tyle. Jakby bali się zanurzyć. Sam przez to zacząłem rzadziej pływać.

Snułem się po podwórku, pogłaskałem chwilę Chinkę, która uśmiechała się do słońca. Wymieniliśmy kilka uwag w naszym języku. Zdawało mi się, że mówiła podoba mi się, wszyscy mnie tak bardzo lubią. Zszedłem w szuwary i zacząłem mocować się z łódką.

– Pomóc ci? – usłyszałem głos znajomego mężczyzny.

– Dawaj – podałem mu sznur i razem wyciągnęliśmy łódkę na trawę. W środku wałało się sporo roślin, starych ubrań i mat, okładki książek.

– Chciałbym z tobą pogadać.

– W porządku, może się przepłyniemy?

– Jakby to powiedzieć, nie za bardzo za tym przepadam. Nie obrazisz się, jak pójdziemy w las?

– Czemu nie...

Przeszliśmy przez dziurę w płocie. Wcześniej napiłem się z wiadra przy studni, wylewając sobie resztę wody na głowę. Piach wchodził między palce, iglaste gałęzie rozstawiły się jak do gry w bierki. Z włosów kapały mi krople, które spadając na piach, tworzyły brązowe guziory. Ptaki pośpiesznie uciekały nam spod stóp, iglaste powykrzywiane drzewa przypominały mi drzewka szczęścia, które można kupić na każdym jarmarku.

– Twój przyjaciel ci już chyba mówił, że przyszedł do nas list. Bardzo się zdziwiliśmy, rzadko ktoś się z nami tutaj kontaktuje w ten sposób. Miałbym w związku z tym do ciebie małą prośbę. Na list wypadałoby odpowiedzieć, a właściwie zatelefonować. A tak naprawdę to pewna pani, która wysłała ten list, jutro sama będzie dzwonić. Na poczcie o szesnastej. Tutaj w okolicznej miejscowości, a my już się za bardzo stąd nie ruszamy. Jest z osiem kilometrów przez las, mamy stary rower jakby co. Jak ty to widzisz?

– Nie ma problemu, ale co ja mam powiedzieć tej kobiecie?

– Że wszystko jest w porządku, bo chodzi o pewnego mężczyznę, historia jest dość zawiła.

– Tego, który sam drążył łódkę?

– Nie chodzi o tego. Tamtego już dawno nie ma, a ten wciąż jest z nami. Tak naprawdę to on jest tutaj najdłużej z nas wszystkich, sam to wszystko zaczął.

- Był wczoraj przy ognisku?
- Nie, on się chowa już od dłuższego czasu.
- To gdzie on jest?
- W szopie.
- W szopie?
- Właściwie pod szopą, ma tam taką piwniczkę, klapkę trzeba uchylić, ale ją przymocował od dołu.
- Cholera jasna, co tu się dzieje... – powiedziałem jakby do siebie.
- Takie to już miejsce – mężczyzna lekko się uśmiechnął.
- Co wy tutaj robicie?
- Różne są powody, musiałbyś każdego spytać z osobna.
- To co ty tutaj robisz?
- Wstydzę się za większość ludzi, dlatego tutaj jestem. Mam dość, że dobierają się tak przypadkowo, to nie ma sensu, żadnej głębszej więzi. Wymienią dwa słowa, potem na sobie leżą, później nasienie z pierwszego tłoczenia i z tego rodzą się dzieci. Mam tego naprawdę dosyć.
- Co cię obchodzą inni ludzie?
- Inni ludzie to ja, ja to inni. Jesteśmy jednością, i jeśli jedne części są jak zwierzęta, jamochłony, to ja się za nich wstydzę, za siebie się wstydzę.
- Nie mógłbym tak myśleć.
- Płyniemy jednym nurtem – gadał nie słuchając. – Jesteśmy wystrzeloną energią, i jeśli już pojawiła się świadomość, trzeba ją dzierżyć godnie. A kochamy doraźność, chwilka szczęścia, a potem patrzenie z utęsknieniem przez okno za czymś, czego już nie będzie. Nie możemy na siebie patrzeć, bo się nie poznaliśmy. Dobieramy się na podstawie kilku nieistotnych spraw, rozkładu oczu, ust, wielkości klatek piersiowych. Mam tego dosyć, czuję się odpowiedzialny za wszystkich obdarzonych świadomością, bo jeśli nie ja, to kto to zrobi? Dalej tam w świecie panuje nicość, krótkie trendy, łapiemy się ich, ciągną nas chwilę jak kolejka. W tym szukamy spełnienia, a to cholera nie ma sensu! Nie mamy już czasu, sił, chęci, żeby poznać kogokolwiek. Łapiemy się pośpiesznie innych ciał, ust, głupich gadek, po to tylko, aby czuć chwilę ciepła, żłudne

oblepianie się ciałami jak plasterkami salami, i jeśli tam nie będzie lepiej, to ja tutaj zostanę – stał tam (znaczy tutaj), wypluwał pośpiesznie słowa, palce kurczyły się, rozkopywały piasek. Wyglądał zabawnie otoczony koroną powykrzywianych iglastych drzew, niebieskich smug nieba, słonecznego skwaru. Z wytartymi frazesami, które skapywały mu z ust. Cały las jak garnek z wrzątkiem, kotły diabelskie łały z chmur żółć, słońce się pociło, wodospady robactwa, spieczone komary nad ziemią.

Wracaliśmy z lasu, Ogierman, on się nazywa Ogierman – szepnął kilka razy mężczyzna. – Musisz powiedzieć tej jego byłej kobiecie, że wszystko jest w porządku, wszystko w porządku. Przeskoczyliśmy przez płot, na podwórku praktycznie nic się nie zmieniło, tylko słońce pożarło więcej zieleni, przesunęło się o wiele metrów. Musiało zauważyć to także dwóch astronomów, którzy wciąż śledzili trajektorię żółtej kuli brudnymi, długimi palcami.

Mgła

Zerwałem się spocony. Szare cienie tańczyły w ciemności. Wszyscy chrapali wokół mnie, deski domu oddawały ciepło dnia. Wymacałem Chinę, gdzie zwinięta obok mojego brzucha. Uśmiechała się śniąc, opaliła się już nieco, na czole schodziła jej skórka, zepsute zębory wystawały zza warg. Czułem na sobie słońce, cały dzień leżeliśmy na trawie jak armia umarłych, tropikalne noże cięły głęboko, doprowadzając do rozgrzania czaszek, krótkiej gorączki, parnych chmur wydzielin, które unosiły się w powietrze. Rodzynki w starych, szarych ubraniach chciały zamienić się w popiół, święty popiół ktoś dzisiaj krzychał przy ognisku, gdy znów opowiadaliśmy sobie historie. Tym razem mówili inni, wysyłali nas w góry, gdzie czekany wbijały się w zmarzlinę, jeden alpinista wisiał nad przepaścią, a tylko drobna linka trzymała go przy życiu i trwaniu. Też opowiadałem, ale już nie pamiętałem o czym, chyba o dzieciach łapiących świetliki do słoików, strumieniu, w którym moczyły nogi, starej babci, która wygnana przez wiek, kontestowała na strychu w starym fotelu. Dom skrzypiał, przez otwarte szeroko okno wpadały dźwięki świerszczy, małych żab, ust jeziora, piosenek nocy. Pomyślałem, czy też zostanę tutaj piętnaście lat, co będę odpowiadał nowym, gdy spytają a co ty tutaj robisz?. Czy też popadnę w swoją mechaniczną melancholię, będę ruszał głową w tył i przód, zamknę się w swojej komórce, nie zgodzę się z ciałem, czasem, światem. Tylko wiatry, kilka ptaków, gniazd, rozbitych przepiórczych jaj, swoja niewydeptana droga, trakt samotnych, gdzie nie będzie już ciepłych twarzy. Usta, które mówią, ale nic nie słyszą. Oddalenie się pochłania za wiele, kto jest gotowy złożyć ofiarę? Podciąć gardło czasowi, ruchom nóg, stąpanięciom przez czarny żużel, każdej jesieni, wodospadom liści. Jak oddalający się statek, ktoś jeszcze go nie odzepił, wielkie nożyce, spada wstęga, otwieramy nową budowlę, ale środek jest pusty, tylko kilka rzeźb, dwie brudne szyby. Koło garncarskie pośpiesznie rozpedzone, palce z nie obcięzonymi paznokciami tworzą kształ-

ty, ziemia przyspiesza, ktoś podstawia grabie pod piłę, iskry spadają na trawę. Chinka się przeciągnęła i ułożyła inaczej, wstałem cicho i zacząłem iść w kierunku drzwi.

Wyszedłem na ganek, deski skrzypiały, więc szedłem na paluchach. W trawie znów potykałem się o rzeźby, wpadłem na stołek. Doszedłem do pomostu, zamoczyłem dwa palce u stopy. Jezioro wirowało, wodny, wolny bieg. Niesłyszalny głos czasu truchtał po tafli, a w głębinach kręgosłupy roślin, kamyki, dwa mówiące węgorze wyskakujące w szuwarach. Prądy ciepła, zimna, obojętności. Mieszanina jak w szklance, noc chochlą mieszała zawartość, las z wodą walczył na spojrzania, wilgotne kępy, czarna zwierzyzna grzebała w ziemi, cichy ryk do księżycy.

Usiadłem w łodzi utkwionej na trawie. Zrobiłem kilka ruchów wioślami. Uderzyły o ziemię. Wyszedłem z drewnianej kapsuły, napiłem się z wiadra, wpuściłem je do studni, wyciągnąłem pełne wody. Zmierzałem powoli do jednej z szop, drzwi jęknęły starczo, zardzewiały zatrzaśki zaśmiały się. Na kuckach przemierzałem spróchniałą podłogę, szukałem włazu, klapy, po czasie wymacałem coś na ich kształt.

– Ogierman... jesteś tu? – szepnąłem.

– Ogierman – powtórzyłem,

– Ogierman, powiedz mi, co się tutaj dzieje! Ogierman!

Nikt się nie odezwał, ani szmeru, ani głosu. Wyszedłem z szopy zawiedziony i znów udałem się na pomost. Położyłem się na plecach, noc powoli podgryzała. Brunatny gaz dzielił ją na okresy, było ich tak dużo, że każdy z nich stawał się wiecznym czasem terażniejszym, postojem, brakiem ruchu. Strzały wystrzelone w każdym kierunku, w którym obiekty się poruszają, robią coś dla siebie, robią dla innych. Spokój synonimem wolności? Myśl przysła jakby z zewnątrz, znów usłyszałem świerszcze, żabi bas, na linach wisały dźwięki, klamrami ktoś chciał przypinać wieczność, ciało wysycha powoli.

Otworzyłem oczy, noc zasnuła mgłą. Nie mleko, tylko pachnąca biel, dym nie do przekroczenia. Noc się utopiła, ręce mgły przepłoszyły ciemność, która czekała w rogach, aby znów ugryźć. Błąkałem się, nie widząc nic. Wyczułem rękami łódź, później jedną z szop, wymacałem największą

z rzeźb, głowę z wielkim nosem. Doczłapałem w białym lotnym pyłe do drugiej szopy, drewni, dużo mniejszej niż pierwsza. Znów na klęczkach przemierzałem małe pomieszczenie, siekiera zabłysła wbita w pniak. Na końcu, pod pociętym drewnem, znalazłem właz zamknięty od środka.

– Ogierman, Ogierman, odezwij się – krzyczałem.

– Ogierman, szaleńcu, wychodź stamtąd.

– Ogierman, głupcze, kto siedzi w ziemnej pułapce, musiałeś tam zwariować, oszaleć!

Z dołu cisza, mógł w ogóle nie istnieć, być częścią gry w nieistnienie, w fikcję. Położyłem się na drewnie, cisnąłem dwoma szczapkami w biel burzącą się za drzwiami szopy. Wyjąłem z trudem siekierę z pniaka, popróbowalem jej ciężaru, wbiłem ją znów. Wylazłem z szopy, dotykałem konturów ganka, odepchnąłem kilka rzeźb przywieszonych na nim jak kłatwa.

Mgła nie była zimna, pocilem się od niej jeszcze bardziej, przylepiała się jak ciepła gładź, plaster. Rozganiałem ją, ale na jej miejscu była kolejna porcja. Co to za twór, całość, nie myślący abstrakt. Brzydki żołądek nocy, biały bękart, wypluta próżnia. Dotknąłem płotu, obok telepała się brama. Popuściłem skobel, wyszedłem na piaszczysty gościniec. Dotknąłem auta, którym przyjechaliśmy, było dziwnie zimne. Przetarłem kurz z szybki, spojrzałem sobie w oczy, reszty nie widziałem, skutecznie zabierała ją mgła. Później las, kolejne drzewa, dobrze ustawione szyki, koszary przeciwko ludziom. Igły cięły mi stopy, biel falowała, coś jak lepki kalafior, a w oddali niebieskie światełko. Brnąłem dalej, punkt rósł... Twarz! Szare rysy, wpatrzone we mnie oczy, zmarszczki tworzyły doliny, delty, ślady rzek, okresowe spływy łąz.

– To nie ja – odezwał się człowiek. – To tylko nie ja!

Język nie wypuścił słów, twarz połknęła mgła, las się wydarł, usłyszałem uciekające kroki. Nogi nie pozwoliły biec, ciało nie chciało ginać. Cofałem, cofałem, cofałem się. Potem na plecach tratowałem piach, rozganiałem go jak łopata, nogi uderzały przed siebie, zerwałem się jednak, zacząłem biec w przeciwnym kierunku. Gałąź przecięła mi kawał skóry pod żebrami, dwa zwroty, biel chyba odchodziła. Uderzyłem w płot, bli-

sko była furtka, wpadłem na trawę, poturlałem się chwilę. Potem cisza, cisza, cisza. Wszedłem na kuckach na ganek, mgła skończyła swoje rządy, pierwsze rozjaśnienia, słońce zaczęło wykop z podziemi, pierwszy jasny, żółty mech rozganiał horyzont.

Telefon

Ktoś mnie szturchał, nie chciało mi się otwierać oczu.

– Wstawaj chłopie, już czternasta, miałeś jechać do miasteczka odebrać telefon – gadał nade mną.

Odwróciłem się powoli, jego ciemna postać, długie włosy opadały z wysoka, a za nim znów ostre słońce, linie tnące ściany.

– Nie jest tam tak daleko, ale weź sobie trochę czasu na zapas.

Usiadłem, bolały mnie pocięte nogi i zębra. Przyjaciół przyglądał mi się bacznie.

– Ale wczoraj była mgła – sapnąłem.

– Bywają tu czasem nagle mgły w nocy, ale to się szybko rozpierzcha zawsze.

– Widziałem niebieski punkt w lesie.

– Pewnie jakiś pijak jechał po nocy, może świetliki, kto to wie.

– I widziałem człowieka w lesie.

– Pewnie ktoś stąd, błakają się niektórzy po nocach, są tu tacy, którzy pojawiają się kilka razy w miesiącu i cholera wie, co robią, jak ich nie ma.

Pomógł mi wstać, pochodziłem chwilę bez celu po domu, wyszedłem na ganek. Słońce podłączało do prądu, tarło na wióry spróchniałe deski, rozgrzewało się z minuty na minutę, chciało znaleźć we wszystkich dziurę i wpuścić tam żar nie do odparcia.

– Daj mi kluczyki, naładuję sobie telefon w miasteczku.

– Wyrzuć lepiej te komórki, to bez sensu.

– Moja sprawa, człowieku.

– Jak tam sobie chcesz.

Wyszedłem przez furtkę, na szybach auta ktoś namalował dziwne obrazki. Pomocowałem się z kluczem, otworzyłem skrytkę w samochodzie i schowałem w kieszeni rozładowany przedmiocik.

Na podwórku człowiek szykował już dla mnie rower. Pompował koła, chlapał smarem ze starego wiaderka. Spojrzałem na pomost, wybieg, ję-

zyk do oleistego jeziora, które migotało, wadziło się ze światłem. Poma-
rańcz przekładał się z wodą, ciągle wymiany, transfery, dyfuzja.

– Będziesz musiał wyjść na gościniec i jechać w prawo – zaczął samo-
zwańczy nadzorca grupki. – Tak z pół godziny i powinieneś być. Mia-
steczko to, wiesz, kilkadziesiąt budynków przy asfaltówce i tyle. Poczte
na pewno zobaczysz. Kup może jeszcze trochę żarcia, bo chłopaki, którzy
dowozą nam jedzenie, ociągają się ostatnio. No i pamiętaj, powiedz jej,
że wszystko w porządku, spław ją grzecznie i wracaj.

Wytarty bieżnik opony buzował w piachu, nie jechałem zbyt sprawnie.
Rower wydawał dźwięki, jakbym wiózł ze sobą stado furczących
ptaszków. Nawet powietrze stawało się niebieskie, żółte, niebo schodziło
ze skłonu, przyszło między ludzi, rozkładało się w szczytach drzew, mo-
delowało przestrzeń. Najechana gałąź trzaskała i odlatywała na inną łacę
piachu. Drzewa wyglądały jak pośpiesznie posadzone w piaskownicy
przez dzieci, dwa urodzinowe podmuchy chłopców i zwałą się, odsłania-
jąc świat, kryjówkę białego robactwa. Wypadało pomyśleć, posegregować
wszystko, ocenić odpowiednio, wyciągnąć wnioski i skorelować z nimi
przyszłe działania, ale na nic podobnego nie miałem ochoty. Tylko szus
przez piaszczystą krainę, ktoś przygotował tę ścieżkę, wydeptał, wytarł,
wytargał drzewa, dlaczego nie skorzystać z niej do cna. Pędzić, zostawić
fotografię każdej chwili albo pomyśleć o tym jako o cyklu, tak naprawdę
już jestem w miasteczku, telefon dawno za mną, siedzę przy ognisku,
mam już bachory, skóra murszeje, kontestuję na strychu jak babcia z hi-
storii. Głupie myśli o wodzie, że łączy w sobie humanistykę i przedmioty
ściśle, które ktoś kiedyś ostro przeciął, tak jak ogniem. Płynność, płyn-
ność, ta wielka niepewniucha, ale jednak ma w sobie dzienny przepływ,
litraż, zmienne stany, ale o wszystkim można byłoby tak powiedzieć.
Właściwie czemu miałbym rozpamiętywać cokolwiek? Na przykład noc?
Chyba tylko, żeby uściślić, ustalić wreszcie słowa, wybrać odpowiednie,
gdybym miał o tym komuś opowiedzieć, wszystko wylać w łechcącej
mnie formie. Czy nie ustawiamy hierarchii wspomnień z własnego życia,
tylko na potrzebę dzielenia się nimi z innymi? W metrze wybuch, mor-
derca, predator, niebezpieczeństwo. Ludzie uciekają, boją się, chcą prze-

żyć. Dlaczego? Żeby komuś o tym opowiedzieć? Żeby puścić jeszcze raz język w ruch? Drewniany patyk, na nim wieszamy słomiane wspominki, bagaż paplaniny, ktoś opowiada o pięciu latach w obozie, patrzysz tylko na jego wargi, ruchy języka, zęby których nie ma, słów nie słyhać, giną, przelatują obok ramienia, wypływają rynną.

Ścieżka się zmieniła, piasek przeszedł w szuter, pierwsze oddechy większej cywilizacji, małe linie wysokiego napięcia, dwie ambony, leśniczówka wbita w kieszeń lasu. Mocny zakręt, droga na lewo i już zmiana, lichej asfalt. Głosy opony zabrzmiały inaczej, zabłąkany czerwony samochód śmignął obok. Jeszcze tylko przejazd przez nieoznaczone tory i wjechałem do małego miasteczka.

Dopiero godzina 15, jadłem lody na ławce pod spożywczakiem, w którym zostawiłem telefon do naładowania i zrobiłem niewielkie zakupy. Zaledwie kilkanaście osób pojawiło się na widoku przez kwadrans. Patrzyli pod nogi jakby zawstydzeni, biegnąc szybko do swoich domów. Kobiety w większości w fartuchach, kupowały zapomniane produkty na pośpieszne ciasto. Dzieci z nosami umazanymi w batonikach, klejącymi się łapkami, śmigające i spadające w oddali sprawnym susem z murku. Dzwony pobliskiego kościoła, ptaki wzbily się w niebo, dwóch mężczyzn przy sklepowym parasolu uderzyło się piwami i wymieniło garść uwag.

Przypomniałem sobie nagle końcówkę Pyłu Johna Fantego. Autor potrzebował zatrzymać bohatera na pięć godzin, więc ten po prostu złapał gumę w aucie i długo nie mógł sobie poradzić z jej naprawą. W jednym zdaniu upłynęło pięć bitych godzin. Jakbym złapał gumę, rower by się zepsuł, może wpadłbym zdyszany na pocztę i rzucił się pośpiesznie do dzwoniącego telefonu. Jednak czasem niczego nie łapiemy, a i tak wyruszamy wcześniej, aby się przed danym momentem pokręcić, popatrzeć w słońce, zauważyć, że ma się brudne paznokcie, szare sznurówki, niebieskie żyły na rękach, dzieci są już inne, wszyscy się śpieszą, grzebią w torbach, gadają ze sobą przez zaciśnięte zęby; albo inaczej – chodzą wolno, chwiejnie, każdy ruch ma swój dostojny rytm.

Odebrałem komórkę ze sklepu, sporo głuchych połączeń, prób do-

tarcia, sprytnie je wykasowałem i postanowiłem zadzwonić tylko do ojca. Impuls rzeźił, wygrywał swój takt, odraczał rozmowę.

– Hej, hej, co tam u ciebie? – usłyszałem z czarnych głębin podeksycytowany głos.

– Dobrze, siedzę sobie nad jeziorem, właściwie sam nie wiem gdzie. Przyjechałem z puszczy przed chwilą naładować telefon w miasteczku. Śmiesznie ludzie tu mówią, ale według nich, to ja śmiesznie mówię.

– My siedzimy na razie w domu, piszę sobie nową rzecz powoli, sam nie wiem, co z tego wyjdzie.

– Też miałem coś napisać, ale wyгнаło mnie z miasta. Zahaczyłem o targi w Katowicach, a teraz jestem, nie wiem czemu, nad jeziorem.

– Ja na razie skaczę tematycznie, jestem ciekawy, co z tego wyjdzie, czy uda się połączyć nitki w całość. Skończyłem już przeglądać dwa pudła zestawów, powiem ci szczerze, że już nie mam takiej miłości do poezji jak kiedyś.

– No chyba, ile można, lepiej się skupić na czymś swoim, może dłuższą rzecz byś napisał? Jakiś research? Jeden narrator? Może warto wyskoczyć z naszej dolinki?

– Pomyślę, pomyślę, mam wreszcie wolne dwa tygodnie, więc coś z tego pewnie będzie. I jak nad tym jeziorem?

– Dziwaczni ludzie, ale to zawsze coś nowego.

– Wiadomo, dobra, leczę skończyć robotę w ogrodzie, jeszcze zostało trochę do skoszenia.

– No, to trzymaj się, trzymaj.

Wyciszyłem telefon na następne wiele dni, schowałem go do kieszeni, zarzuciłem plecak i poszedłem żwawo na pocztę. Kwadrans do szesnastej, panie zza okienek uważnie mnie obserwowały. Nie miałem ochoty się im tłumaczyć, przeglądałem ogłoszenia, wziąłem do ręki książkę telefoniczną. Sprawdziłem z ciekawością nazwisko Ogierman, ale ani sztuki w województwie. Później Maliszewski, kilkadziesiąt osób stało w czarnym rządku, Elwira, Krzysztof, Andrzej, Bogdan, Krysia, Maciej, Tomasz, Angelika, Bogusława, Natalia, nawet Kornel. Szukałem śmiesznych nazwisk, nikt z nazwiskiem Kocio, kilka Kotków, Ryszard Kotek, od razu go po-

lubiłem. Suka, zero wyników. Żadnych Pisiorów, Ania Głask-Bombelstein, pokochałem ją, zeswatałbym ją z Ryszardem Kotkiem. Głos telefonu.

Brzęczenie aparatu, drażniący dzwonek, mechaniczny wewnętrzny wywoływacz. Pocztove babki się ożywiły, patrzyły ciekawie zza okienek. Przełknąłem ślinkę, choć miałem tego nie robić. Trzy kroki i złapałem za słuchawkę.

– Halo? – spytałem słabo.

– Halo, proszę powiedzieć, kim pan jest? – miły kobiecy głos.

– Jestem stamtąd, z chaty.

– Ale jak mam do pana mówić? Lubię wiedzieć, z kim rozmawiam.

– Jestem Ryszard, Rysio proszę mówić.

– A jak ma pan na nazwisko.

– Musi pani o to pytać?

– Chciałabym wiedzieć.

– Kotek. Ryszard Kotek.

– Dzień dobry, bardzo mi miło poznać. Jestem Anna (tylko nie Głask-Bombelstein! przemknęło mi przez głowę) Szydłowska.

– Także mi miło poznać.

– Więc... czytał pan mój list?

– Nie czytałem.

– Nie czytał pan, ciekawe, to jak on się miewa?

– Wszystko bardzo dobrze.

– Ale jak się czuje? Dalej tak doskonale rzeźbi?

– Lubi przesiadywać w szopie.

– W szopie?

– Tnie tam nałogowo drewno.

– Jak to?

– Nowy styl rzeźby.

– Dziwne rzeczy pan opowiada. Mam nadzieję, że je regularnie? Pamiętam go, jak potrafił się zatracić w swoje sztuce, dwadzieścia godzin bez ustanku, a żebra odsłonięte jak pręty.

– Jest bardzo odżywiony, polubił ostatnim czasem dzemy, głównie truskawka.

– A to ciekawe! Tak szybko się wszystko zmienia, tak szybko się zmieniamy. Na pewno bym go już nie poznała. Wspomina o mnie?

– Czasem jak się rozmarzy przy ognisku, to staje mi pani przed oczami jak żywa.

– Poczułam się, jakbym była okradziona z samej siebie – zaczęła chichotać. – Jak tak o mnie opowiada, to co dokładnie mówi? Proszę powiedzieć.

– O włosach, nogach, pani nosku, intelekcie...

– O moim nosku?

– Że piękny jest.

– Naprawdę tęsknię, czemu wszystko tak odchodzi szybko? Dziwujemy się, oddaliśmy się, nie możemy być tak, jak kiedyś albo wiecznie.

– Życie, droga pani Anno.

– Proszę mi mówić na ty, bardzo mi pan piękny głos, tak przy okazji.

– Dziękuję bardzo, pani głos też polubiłem.

– Bez pani już, proszę – starała się powiedzieć jeszcze czulej.

– Więc droga Aniu, wszystko jest z nim dobrze, wspomniały mężczyzna w kwiecie wieku, niesamowicie wygląda na tle zachodzącego słońca odbijającego się w jeziorze. Nie ma się, o co martwić. Odżywiony, zdrowy, twórczy. Pozdrawia panią bardzo mocno, przepraszam, ciebie, Aniu.

– Dziękuję bardzo, szkoda, że on tak nie lubi się ruszać, że nienawidzi telefonów, cywilizacji, że tam nie ma, jak się skontaktować. Chciałabym go bardzo usłyszeć.

– Dobrze, pani Aniu, pozdrawiamy mocno! Proszę się trzymać! Całuję – zagalopowałem się.

– Ja ciebie też mocno, uściskaj Ogierka ode mnie – usłyszałem serię cmoków, potem tylko rytmiczny sygnał. Spocony odłożyłem słuchawkę, kobiety zza okienek pukały z wyrzutem w zegarki. Uchyliłem drzwi i wturlałem się z powrotem na ulicę małego miasteczka.

Rączka

Całą drogę powrotną myślałem o kuli wystrzelonej przez Rysia Snajpera. Jak to jest strzelić kawałkiem metalu nad miastem, gdzie się on unosi, w jakich przestrzeniach. Płynie melodyjnie, czy szyje przeraźliwie niebo, trafiając niechcący w cel. Dręczą też strzały, wszystko co wystrzelone. Całe niebo zasnut kawałkami drewna, z przodu odważny grot. Partyjski łucznik nagle napinał łuk, to pomyśl, jak ja się czuję. Użytek z łuku i strzał polega na utrzymywaniu świata w strachu. Łuk życiem – strzały śmiercią, jak dociśnięty mocno pedał gazu. Czyje to do cholery? Czy tak to szło? Świszczą linie obok głów, wers się kończy, magazynek maszyny wypada przez okno, każdy patyk ma szansę dotrzeć i rozszarpać policzek.

Skręciłem w las i wjechałem na szaloną posesję przez dziurę w płocie. Odstawiłem rower koło szopy i poobserwowałem chwilę leżące na słońcu nieme ciała. Coś jakby mówili w kierunku ciepła, chcieli więcej suszu z nieba, wielką ścięgę, która wytarłaby do czysta, nic by z nas nie zostało, potem kapłan pokropiłby pachnącą wodą, dzieci rozrzuciły płatki, łódź sunęła po kamieniach i gwoździach, krater zamieszał krew w ciele, rurami spadały deszcz, rozgoniona chmura i rozognione niebo.

Podszedłem do szefa, który też smażył się w białych płomieniach.

– W porządku, powiedziałem jej, że wszystko z nim dobrze.

– Dobra robota, przywiozłeś trochę żarcia?

– Mam w plecaku, ale to tylko takie podstawowe pierdoły.

– Dobrze że jest – zamilkł, zamknął oczy i poddał się skwarowi, czekając na bąble, wybuch czaszki, sto stopni magmy cieknącej przez uszy po policzku.

– Wiesz, że Rousseau tak łapał natchnienie – mówił sennie. – Po prostu wystawiał czaszkę na słońce.

– Każdy ma swoje metody, inaczej się pewnie ustawiają myśli w głowie, w zależności od tego, gdzie się wsadzi łeb – powiedziałem cicho, kładąc się obok.

– Założmy, że to wszystko wygląda jak kable, linie, siatki, rozwieszono to jest nad wieczną wodą.

– Małpy wiszą na kablach, huśtają się, z wody wyskakują latające ryby.

– I u Rousseau linie musiały być cieniutkie i metalowe, przy ciepłe szybciej krążyły informacje, ocean w dole się podgrzewał, co chwila wylatywała z wody drobna bańka.

– Po alkoholu kable otaczane są puchem, kocami, watą, miło się z nich spada do wody, która jest wtedy jak galareta.

– Łapiasz z nieba ciepłą senność, potem wydalasz ciepłą senność. Nawet zaczynasz używać miękkich słów. Na mrozie słowa są kanciaste, mają ostre powierzchnie jak przejechanie policzkiem po lekko zamrożonym śniegu.

– To całe pisanie to roztrząsanie kwestii zewnątrz-wewnątrz i śmierć-życie.

– Chyba podobnie jest z przeżywaniem, a tak w ogóle było tu kilku pisarzy swego czasu, nawet kilku jazzmanów. Coś powinno zostać po nich na strychu, jeśli oczywiście uznasz, że nie jest to zbyt konwencjonalne.

– Dzięki, na pewno rzucę okiem.

– Uważaj tam tylko na Rączkę. To ten co strzela do wszystkich z palców. Upodobał sobie stryżek i wydaje mu się, że jest jego panem i władcą.

– Jakoś go udobrucham. Powiedz mi jeszcze, widziałeś gdzieś Chinę?

– Zbiera w lesie rośliny z takim jednym, chyba twój kumpel też z nimi jest. Wyglądali jak wesoła rodzinka, gdy wychodzili. Naprawdę ta dziewczynka to skarb, nie wiem, gdzie ty ją dorwałeś.

Pochodziłem sobie po nie przycinanej dawno trawie, źdźbła lekko wchodziły między palce. Pewnie to już ostatki zieleni, bo słońce nie chciało przestać, udostępnić chmurom, gwałtownym opadom, lekkiemu deszczowi, sceny. Nie dawało im ani chwili, nawet jednego aktu, strzępka słów, chociaż suflerskiej podpowiedzi.

Chciałem odwiedzić strych, ale przepychanki z wariatem nie widziały mi się zupełnie. Może nie jest tak źle, pomyślałem i cicho zacząłem

wchodzić po drabinie na stryszek. Zapukałem w klapę i usłyszałem dzikie charczenie.

– Nikt tu nie wejdzie! – jednak ten Rączka to agresywny szaleniec.

– Chciałem rzucić okiem, podobno są książki, jakieś zapiski.

– Nic tu dla ciebie nie ma!

– No, Rączko, daj rzucić okiem.

– Dla ciebie to jestem Dłonią!

– Nie wygłupiaj się, posiedzę chwilę, wezmę coś do czytania i uciekam.

– Musisz coś dać na wstępie. Fanty za fanty!

Poszedłem do otwartego auta, wyjąłem kolorowe tomiki i znów wspiąłem się pod strych. Zapukałem.

– Rączko, mam trzy książki, trzy fanty!

Kłapa się otworzyła, szalony chłopak klęczał, wydawał sepleniące dźwięki. Machnął rękami zapraszająco. Gdy zobaczył tomiki w mojej ręce, szybko mi jej wyrwał i rzucił w kąt strychu.

– Masz dziesięć minut, żeby sobie przejrzeć.

– Dobra, dobra, a co ty tutaj wyrabiasz na tym strychu?

– Strych jest mój i tyle.

– A jak się tu znalazłeś? W naszym dziwnym miejscu?

– No nie twoja sprawa, nigdy za wiele nie miałem do stracenia, lepiej się śpiesz, bo masz już tylko dziewięć minut.

Strych podgrzany do astronomicznych temperatur, ukrop urządził sobie prywatną szklarnię, piekło, komorę. Zapach starego drewna dzielony przez zapach gorących dachówek dzielony przez sterty brudnych ubrań, koców, płyt, zeszytów, książek.

Szybko zabrałem się do przeglądu. Komeda, Milian, Vistula River Brass Band, Metropolian Old Bred Simple Ball Away Connection, te i inne płyty śmigały przed oczami. Książki też głównie polskie. Otwierałem zapisane bruliony, bloki rysunkowe

– Pamiętaj, wziąłeś trzy, wynosisz trzy – gderał Rączka za plecami.

Schowałem pośpiesznie jeden zeszyt w majty, w łapy wziąłem trzy książki, płyty nie mogły mieć swojego ujścia, więc nie wziąłem ani sztuki.

– No powiedz, Rączka, powiedz mi, co ty tu robisz? Gdzie się urodziłeś? Co? – chciałem go trochę podpuścić, wychodząc.

– Nie będę tu gadał bez sensu, co to cię właściwie interesuje? Zapomnisz raz dwa, a dla mnie to są ważne sprawy.

– Czemu strzelasz do ludzi z palców?

– To nie jest wcale takie głupie, jak ci się wydaje.

– Wiesz, że ja niewiele z tego czuję? Twoje kule nie są takie mocne.

– Odczep się.

– No to opowiadaj, dlaczego tu siedzisz, zamiast robić karierę w biznesie, budżetówce, mediach, marketingu czy oddziałach strzelających paluchów?

– Kiedyś ci opowiem, ale musisz obiecać, że będziesz uważnie słuchać, przepytam cię na koniec.

– Nie ma problemu, opowiedz mi dzisiaj przy ognisku.

– Zobaczymy.

Zląłem z drabiny, nadzorca gromadki śmiał się do mnie oślepiiony słońcem.

– Ej, mój drogi, jak ty właściwie masz na imię, bo mam już dosyć pisania o tobie człowiek, mężczyzna? – spytałem go.

– Wybierz sobie.

– Pamiętasz swoją pierwszą historię przy ognisku? O Budapeszcie?

– Tak.

– Może Budapeszt.

– Jak tam chcesz, a nie jest za długie?

– Mamy tyle pięknych zdrobnień na świecie, Buda, wszystko będzie dobrze. A kiedy Buda połączyła się z Pesztem?

Wypychałem powoli łódkę obok szuwarów i pomostu. Wcześniej oczyściłem mały pokład, rzucając później do środka zeszyt i książki zerwane w strychowym raju Rączki. Z łódką pomagał mi Buda i jeszcze kilku suchych przyjaciół. Mocne odepchnięcie i złapała swój ulubiony grunt, srebrzystą taflę, migotający stół, zieloną wielką rybę.

Wsiadłem do środka i zacząłem powoli odpychać się wiosłami. Kilkanaście ruchów i już znalazłem się na środku. Skierowałem się bardziej

na lewo, przestałem ruszać wielkimi drewnianymi palcami i zacząłem powolny dryf. Po lewej stronie zaczynał się las, wielkie konary i łakome gałęzie wreszcie zasłoniły mnie od słońca. Denerwowało się metr ode mnie, na swoim polu wody, które należało do niego, chciało mnie przesadnie ogrzać, spopielić, wysać jak kolejne kubiki ciecchy, oddać parę wodną podniebnym żeglarzom.

Wziąłem do ręki zapisany zeszyt. Wchłaniałem brzydkie, niewyraźne pismo. Na marginesie masę dodatków, jakby gotowe interpretacje fragmentów tekstu. Ciemne, niewyraźne miasteczko. Mieszkanie. Bohater leży w wannie z zimną wodą. Odłożyłem brulionik, zacząłem przeglądać książki. Ktoś desperacko wydrapał tytuły oraz imiona i nazwiska autorów. Kulisty cień wziął mnie w ramiona, a ja wpadałem w narrację. Myślnik narratorem, narzędzie zbrodni to też myślnik, przeciął ciało od wątroby po nerki. Dwukropek przyjeżdża na miejsce zbrodni, później kłótnia w taksówce, czy alfabet zawiera w sobie tajemnicę świata. Potrzebne jest trzęsienie ziemi, upadek z pieca czwartej generacji, wtedy ułożą się na podłodze w sieni w doskonałym porządku. Taksówka staje w korku, kłótnia przez szyby. Myślnik staje się panem Nisterloyem, długi monolog, konkluzja: wyzwolenie poprzez sztukę jest możliwe, bo istnieje doskonała kombinacja. Rzuciłem książkę pod nogi. Spojrzałem na trakcję szuwarów, przekazywały sobie energię, w wodzie rodziły się elektryczne robaczki, horyzont księgą, trzeba rozpalic ogień, aby doczytać zakończenie. Chłopiec czyta ostatni rozdział pod kołdrą z latarką, fabuła zbiła mu dupę, przyczepił się jak rzep do wątku i przędzy. Ktoś zrzuca kołdrę, rozbija ciepłą jaskinię, to straszny wujek Popo, znany w regionie przeciwnik czytelnictwa. Odrzuca książkę w ką. Kot uskakuje, okładka rani mu miękojeść łapki. Wujaszek przywiązuje chłopca do kija, odchodzi ze śmiechem, bawiąc się małą latarką. Kompletna ciemność, chłopczyk stanowi z tyką jedność. Kotek się łasi, zakończenie leży pod szafą. Jak to się skończy? Jak to się skończy? Dzieciaczek łka.

Ruszałem wiosłami miarowo, woda odskakiwała na wiele metrów, lawiny kół, kółek, obręczy, okręgów. Z pomostu machała mi Chinka, w oddali majaczył Druh (trzeba go wreszcie spytać o imię), Buda, Rączka, i inni jeszcze nie poznani i nie nazwani.

Podpłynąłem do drewnianej konstrukcji, Chinka ze śmiechem ude-
rzała w wiosła. Wskazałem jej ręką, żeby wsiadła. Nieporadnie usadowiła
się z przodu, co chwila się uśmiechając czy śmiejąc. Robiłem wyraźne
ruchy, łódź łapała swoje tempo, gryzła przestrzeń, drwiła z możliwości
zatopienia, złapania w płuca wody, śmierci w czarnej otchłani.

– Dobrze się bawisz? – spytałem ją w naszym języku.

– Świetnie! Dziękuję, wujaszku (dobrze że nie jestem wujkiem Po-
-po). Nazbieraliśmy melisy, szałwi, mięty, malin, jagód. Jeżyny już są
prawie dobre!

– Nie tęsknisz za domem?

– Kiedyś na pewno przyjdzie ten moment, podejście mnie, zacznę
gładzić po ramieniu, ale to jeszcze nie teraz. Teraz się staram cieszyć każ-
dą chwilą, łapać promienie słońca, kraść każdy piękny widok.

– Cieszę się.

– Chciałabym ci kiedyś opowiedzieć swoje sny, ale to jeszcze nie te-
raz.

– Będę czekał.

Cięcie wody, rozejście, widać długie rośliny, to klin robi przedstawi-
nie dla innych ryb? Pobierają swoją dawkę powietrza, wodna struktura
coś jak układ mózgu. Uszami płyną naddatki. Łapiemy za nos jezioro,
ono wyskakuje wysoko w chmury, rozdziela się na monstrialne krople,
które spadają na lasy z pluskiem.

Tym razem to nie zwłoki wodza (znów leci strzała, która trafia), łód-
ka płonie, oddala się od brzegu. My żyliśmy, płynęliśmy do pomostu,
żadnego ognia, ofiar, śmierci, opłakiwania, czarnego materiału oplatają-
cego kulę ziemską. Łódka stuknęła o szuwary, usta Chinki w słońcu ni-
czym pyszczek ryby.

Kobieta

Płomień jak kłębek, najpierw niewielki, potem stado kotów rozszarpuje go, roznosi na wiele metrów, ciepły dar z patyków, kawałka chrustu, pociętych pniaków. Dym jak wyjęta szpula z kasety, skrzeczy, szumi, dławি gardziel, roznosi się w jelitach, ciągnąc się. Armia dziewczynek wyjmuję gumy do żucia z ust, też się ciągną, strzelają z balonów, rozkładają odpowiednio uroki i feromony w mieście. Chusty na głowach, flanela, wansy, walkmany, mniejsza wiara w umiaranie.

Kółko gotowe, wszyscy zasiedli, flaszki z miksturami i płonące kilkunastocentymetrowe dynamity świszczą w rękach, wprowadzane turlaniem w lot. Senność i spokój, nikt nie brał się do opowieści. Usiadłem koło Rączki, tym razem celował z palców w swoją głowę, otwierał usta, wypychał tam paluchy, udawał, że dostał, że ręce zadziały.

– Co tam Rączka? – szturchnąłem go przyjacielsko łokciem.

– Jesteś gotowy? – spytał.

– Dawaj.

– Słuchaj mnie tylko – zaczął. – Nigdy mnie nikt nie chciał słuchać. Od kiedy tylko pamiętam, wydawało mi się, że latam. Mówiłem o tym matce, ojcu, siostrze, ale powątpiewali, nie słuchali, pukali się w głowę. Kolegom chciałem mówić, sąsiadom, opowiadałem nawet psom, ale uciekały. Zbliżałem się do gołębi, ale te dziobały chleb i zmykały, a ja zostałem z historią w połowie drogi.

– Będę słuchał.

– Ja naprawdę latałem, chciałem leczyć w ten sposób nasz świat. Jeśli sobie coś wyobrazisz, to jakbyś odbierał nieco ciężaru z pleców rzeczywistości. Przemycasz te trudne sprawy, ludziom jest wtedy łatwiej. Boli mnie to, że tyle się musiało stać złego, abym mógł być. Scytowie kroili głowy jak maszyny, jedli serca, wyrzynali ludzi, w chwilę uciekał ten boski, świetlisty moment życia. Jeden ruch miecza, głowa się turla, spada gilotyna, kulki lecą na wielką górę. Czyngis-chan wyrzynał całe szlaki,

wysysał tlen z milionów, dostali chwilę, aby patrzeć w słońce, ale nie, układ wydarzeń i rzutów kostką ich nie uszanował, odchodziło boskie tchnienie, aby się wszystko mogło przeobrazić, zmienić, przebrać, przyspieszyć, ruszyć z posad. Aby mógł być ktoś taki, jak ja na przykład. Tyle istnień gnije na kompoście historii, aby wyrósł taki chwast jak ja. W dołach trzeszczą ich kości, gazy trują miliony. Tyle się musiało stać złego, abym był. Z tym nie mogę sobie poradzić. Dlatego odskakuję na inną płaszczyznę, wyobrażam sobie. Tam strzelam, zabijam niewidzialnych, upadają, wpadają do wody. Odbieram rzeczywistości chamstwo, brud, śmierć, podcięte gardło. Ja to robię w fikcji, ziemia już nie musi. Mój mały symboliczny akt, strzał z palca to próba oszukania fikcją prawdziwych wydarzeń, żeby one już nie musiały pochłaniać istnień, kroić kości, zabijać niewinnych.

– Piękna idea, Rączko – rozmarzyłem się. – A nie myślisz o tym wszystkim jako o przypadku? Każdy rozdział to osobny rozdział. Chwilę powinno się oceniać w jej misce. To nie jest chyba jakiś wieczny układ naczyń połączonych. Nie bierz żadnej odpowiedzialności za Czyngis-chana – zaśmiałem się.

– Nie mogę sobie z tym poradzić, że to jest wszystko jak powóz, dyliżans z którego spadł woźnica. Drzwiczki uderzają o ściankę, konie wariują, cienkie im z chrap ślina, jedziemy w szalonym pędzie, i co dalej, i co dalej? Ja się staram jeszcze strzelać ze środka, choć w mroku nikogo nie ma, to fikcja. Trafiam w nicość, ale ci w środku myślą, że jeszcze walczę, że się nie poddałem.

– Oj Rączko, Rączko – złapałem go za ramię i poczochałem po bujnej czuprynce.

– Co? Uważasz, że jestem głupi?

– W żadnym razie. Dobrze, że z nami jesteś. Strzelaj, strzelaj do woli.

Pociągnęliśmy kilka łyków, ołowiany mrok, szlauch ognia tryskał w noc. Wreszcie się ktoś zabrał do historii. To Druh. Ruszał ustami, zataczał kręgi w powietrzu, dorzucał trocin do ognia, który wystrzeliwał wtedy jak fajerwerk, trafiając w kępkę czarno-żółtej trawy. Zaczął...

Jechałem rondem, zataczałem kręgi, jak wokół Berlina, Moskwy, Sa-

turna. Wpadłem w jedną drogę, pęcherz mnie naciskał, szukałem kibelka. Bank zamknięto, w spożywczaku kobieta powiedziała, że mieszka bardzo blisko i chodzi do domu za potrzebą. Chciałem odlać się w parku, ale dużo oczu podróżowało jak ikra po wydeptanych ścieżkach. Wpadłem do hali, oślepiła mnie dziwna biel, ludzie którzy mieli swoje rondo, gadali, ich usta jak kanapki, wąsy to sałata, język to ser. Sporo stoisk, masy książek, świat wielkiego gestu. Nacisnąłem na klamkę toalety. Wsunąłem się do środka. Sikałem do pisuaru, w środku były literki. Na ścianie plakat, kilka słów o nowej chińskiej książce. Roześmiane twarze jak grupka studentów, którzy z niedowierzaniem zbili się w radosną kupkę, reklamując swoją uczelnię. Ktoś śmignął mi obok, ale nie zwróciłem na to żadnej uwagi. Wyszedłem pośpiesznie, wlałem się znów na dwór. Doszedłem do samochodu, spokojnie odjechałem.

Auto podskakiwało na kocich łbach, przybyłem do małego miasteczka. Nie wiem dlaczego, ale zacząłem iść w stronę kantoru.

– Ile ci trzeba przyjacielu? – zaczął wesoło wąsacz

– Tak, aby kilka dni przeżyć w Czechach.

Zauważyłem, że jest niewidomy.

– Umiesz czytać brajlem?

– Umiem, wiadomo.

– Co przeczytałeś w życiu najlepszego?

– Instrukcję na tabletkach.

– A chciałbyś poczuć coś naprawdę mocnego?

– Jak każdy, lubimy adrenalinę.

Wszedłem do środka i dałem mu w pysk. Stoczył się pod stołek, mamrocząc coś niezrozumiałego. Zgarnąłem dolary i euro, szybko wybiegłem. Ludzie zaczęli się kłębić, utworzyli korowód na kostce, ale mnie to nic nie obchodziło, jechałem szybko w kierunku północnym.

Ognisko przyskało, za długie palce wskazujące sypały spalonym węglem. Promyki to akrobaci, banda górali na motorach skakała nad palenikiem. Chinka spała wtulona w kogoś, ukłucie zazdrości, poradź sobie z nim. Wyjmij cierń. Wobec czasu i wszechmiaru przestrzeni zazdrość jest jak jedna wypustka w pozytywce. Przejazd przez ciebie i twój dźwięk nie

trwa zbyt długo, a pozytywa ukryta jest w jednej z szaf, w jednym pokoju, domu w dziwnej miejscowości. Niech śpi, u kogo chce. Wszyscy gadałi bez ustanku, przestali szanować układ opowiadający-widownia. Buda rozważał, czy naprawdę można osiwieć w chwilkę jak Dostojewski. Ktoś dodał, że Filipińczycy tak właśnie siwieją. Sanskryt. Skąd pochodzą Cyganie. Mechaniczna kaczką. Gadka o metaforach. Komuś nie podobała się ta: jest jak wystrzelona przez matkę kula od bilarda. Kolejne łyki, butelka falowała, małe morze wewnątrz, spojrzałem do środka, jak szkielek po mikroskopem. Rodzące się życie, oderwanie grudki, piksele jak na pierwszych grach telewizyjnych. Jadą motory, wilk łapie jajka, skok przez kamyki, złapać się platformy. Stare kino. Wyjmuje się gąbkę z siedzeń. Jecie z nową koleżanką słonecznik z kieszeni. Ona jeszcze nie wie, że masz tam dziurę i nie masz majtek. Szatniarz (szantażysta) ma radar, piraci nadciągają. Ktoś powiesił zwłoki żony na wieszaku. Dostał numer 7. Włożył go do kieszeni. Odłożyłem butelkę, dmuchali na mnie dymem życzliwi. Zaciągnąłem się. Ogień jak piramida, lew ryczy ze środka, wszyscy czarni, ustawieni jak pionki na planszy. Część chrapała. On zmarł na muskowicydozę. Usłyszałem obok. Wcale nie ktoś się kłócił. Zresztą to chyba inaczej się mówi. Chciałbym znać się na muzyce, lepiej umiałbym ją opisać, a właśnie jakąś słyszałem. Salaterka, saletra, Sartre, Chlorochinaldin.

Pewne zamieszanie obok domu. Jakiego Ryszarda Kotka, zwariowałaś? Ktoś powiedział lekko oburzony i rozbawiony zarazem. Nikogo takiego tu nie ma. Widziałem w ogniu kulę od multilotka (albo od multi kultu), w kasetce są pieniądze, kasetka maszyny losującej zostaje otwarta, komisja gier i zakładów ma wąsy i broń. Kule popcornu z numerami podskakiwały, gar ziemniaków, siedząca kobieta obiera je powoli. Plasterki spadają pod nogi, będą dla świń. Niski, krępy mężczyzna biegnie susami przez pole. Druh się przysiadł, sączył mi przez ucho Sindbad, kurwa jego mać, budyń, budyń, legumina, kisiel. Żurawina to cranberry, a żuraw to crane. Tylko w dwóch językach tak jest, zgadnij, skąd to podobieństwo? Wrestling uprawiają psy, szczepił się z Żydówką, znalazł ją na torach, torach. Spadł z balkonu, a był akrobatą. Szopa zniknęła, noś worek, nie

upuszczaj. Chciałbyś żyć szybko i umrzeć młodo? Może oszukuj ludzi, umrzyj jak psiak w brudnym mieszkaniu w Zurychu? Chyba trzeba się trzymać życia kurczowo, łap je, łap je, trzymaj i wączaj jak suknię, która została po byłej kobiecie. Jej już nie ma, tryska inna sperma z szybkością 48 kilometrów na godzinę. Tak pewnie tęskni, siedzi na świetlistej werandzie, gra w szachy, ale nie ma jej już! Nie ma! Inne łapy (ale brudne i zapracowane) dotykają jej ramion. Jest tu ktoś. Przyszła po ciebie. Złapie cię za ucho!

– Zamknij się, człowieku! O czym ty gadasz?! – odepchnąłem go lekko.

Zamknąłem oczy. Ciało mogło być metr nad ziemią, czaszka w jeziorze, nogi sunąć jak narty przez piaszczysty las. Ktoś mnie dotknął i przejechał ręką po szyi. Otworzyłem oczy. Kobieta. Niewielka główka. Wstążka. Włosy jak żółta ręka. Zadarty nosek. Tak, tak, usta przypominały czerwonego chrząszcza.

– To ty? To z tobą rozmawiałam?

– Tak.

– Powiedz mi, gdzie on jest?

– W lesie, uciekł, błąka się.

Zaczęła płakać, biegła jak szalony owad po podwórku. Ataki płaczu jak wyplucie kłaka, foka tocząca piłeczkę na nosie. Zanurzenie blisko wody, ognia, spadła obok mnie. Wyła w ziemię, ryła nosem, chude łapki przebierały w trawie. Nie wiedziałem, czy jeszcze szczerze, czy to już słynny spektakl. Położyłem rękę na jej głowie, ruszałem powoli. Wygramoliła się z łez. Popiła z butelki. Potem jeszcze raz. I jeszcze. Oczy się jej szkliły, kolor rogówek wymieszany, innym razem umiałbym oddzielić części, tym razem przyszło do głowy Australia, to był kolor Australii, lecz nie. Przypomniała mi się dziewczyna z okładki płyty. Tylko ona, wargi lekko rozstawione, niewinność i wyuzdanie w jednym, na białym tle. Jaka to była płyta? Jaka historia? Biały wąż, łasiczka, jakby grając, jakby od niechcienia, pewnie wszystko jej do tej pory wybaczało życie.

– Ale go znajdziemy?

– Pewnie tak – błądziłem ręką po jej załamaniach, górkach, dłuży-

znach, krótszych fragmentach, pustych deltach, kratkach skóry, oblepiającym ubraniu.

Usłyszałem krótszy oddech, zasnęła cicho. Też opadła mi głowa. Leżeliśmy jak dwa owoce, które spadły z drzewa. Dwa robaki, które urodziły się w tej samej małej łupinie.

Jezioro

Trzask oczu, migotanie światła. Otwarte, zamknięte, otwarte. Czyjeś nogi, spopielona trawa, zaraz czern. Koncert szuwarów, ruszają się w raz w lewo, raz w prawo. Spojrzałem na buty przed swoimi oczami. Choler nie stara skóra, zajeżdżona na szlakach. Wstawaj, chłopie, wstawaj ktoś zamruczał nade mną. Wziął mnie lekko i postawił do pionu. Spotkaliśmy się twarzami, to Druh. Miał spuchniętą twarz, oczy gdzieś indziej, wysuszone usta.

– Niewiele pamiętam, ale się zrobiłem wczoraj, rozrabiałem coś? – spytał, wgapiając się we mnie z odległości kilkunastu centymetrów.

– Też niewiele pamiętam, co my właściwie jaraliśmy? To nie było normalne.

– Nie chcesz wiedzieć, nie chcesz.

– Jakąś dziewczynę widziałem wczoraj. Nie wiem, czy to halun...

– No, patrz, tam leży – wskazał gdzieś za mną.

Obróciłem się i rzeczywiście przy ognisku spała spokojnie chuda postać. Dalej leżały inne, zabite przez ciężką noc, ciała. Poszedłem na pomost, przemyłem twarz wodą, jakby ktoś pytał, to nie widziałem swojego odbicia. Powłócząc nogami, zwałem się obok dziewczyny. Otwierały się jej dziurki w nosie, łapiąc co kilka chwil coraz cieplejsze powietrze. Miała na nosie krople rosy, rzęsy jak małe szczotki. Zabawny rowek między ustami a nosem, właśnie płynęła przez niego kropla. Wyglądała na dużo młodszą, niż ta z którą rozmawiałem przez telefon, o ile była to ona. Nagle słońce zgasło, czern biegła przez jezioro, potem połknęła las. Spojrzałem w niebo, to tylko mała chmura, nic wielkiego. Znów zwróciłem głowę ku dziewczynie, słońce zapaliło pośpiesznie żarówkę, oświetliło punkty wody na jej twarzy. Gałki zaczęły się ruszać pod błonką powiek, ale jednak spała dalej. Zebrałem się i zacząłem szukać Budy. Leżał zniszczony na ganku, próbował napić się wody z małego wiaderka. Złapałem go za ramię.

- Gdzie jest ten Ogierman, co my jej powiemy?
- Cholera wie, stawiam, że pod szopą. Widziałem go kilka tygodni temu, jak się snuł po podwórku, potem wziął zapasy i włożył do swojej skrytki.
- Niedawno go próbowałem wywołać, ale się nie odzywał.
- Rzadko kiedy się odzywa z jamy, a tak w ogóle to dałeś dupy. Co ona tu robi? Miałeś ją chyba spławić.
- Ja jej tutaj nie zapraszałem. Powiedziałem, że wszystko dobrze. Skąd miałem wiedzieć, że się tu zwali?
- Problemy będą z nią, sam zobaczysz. Się zacznie histeria.
- W sumie co ona ci tu przeszkadza?
- Pewne sprawy trzeba trzymać we własnym gronie, pojawi się taka, wszystko się spieprzy raz dwa, sam zobaczysz!
- Zajmę się nią, nie drzyj papy!
- Mam nadzieję.

Zostawiłem go na wpół zamroczonego, wylał sobie wiadro na głowę, padł znowu na posłanie. Usiadłem na schodkach od ganku i spoglądałem na pole z ludzkimi kopcami. Wszystkie układy ciał, nogi, ręce, głowy, niektóre jak gwiazdy, inne jak porwane meduzy, wytargane poduszki, zwinięte przez psa kłębowiska koców. Chinka powoli wynurzała się z jednego ze śpiworów. Wystawiła główkę, spojrzała w słońce, wytarła dłońmi twarz jak chomik. Gdy zobaczyła mnie na schodkach, uśmiechnęła się szczerze, ale chyba nie miała siły, żeby wstać, więc wsunęła się z powrotem do śpiwora. Druh leżał z nogami w szuwarach, bawił się stopami w błocie, kleił je sobie, taplał, cieszył się każdym czarnym bryzgiem.

– Słońce, pojebańcu – zakląłem w kierunku złotego potwora. – Prze stań już! Daj odpocząć!

Nie chciało jednak wziąć udziału w dialogu, przesunęło się o kilka milimetrów i wysłało więcej ognistych sopli, igieł żaru, afrykańskich podmuchów. Mogło spaść jak piłka baseballowa, niewielki Murzynek (pomiatany przez dzieci w klasie) wyskoczyłby z szuwarów, przeskoczył sprawnie mokrą kartkę jeziora, dał nura w las, wrzucił gorącego przyjaciela do dziury w ziemi.

Pierwszy ruch nowej postaci, zaczęła się lekko ruszać, więc, zasłaniać się przed słońcem, pewnie zdążyło ją potraktować chlustem różu, dwoma dotknięciami podniebnych kłów. Rozglądała się spokojnie. Podniosła się, usiadła. Obserwowała jezioro, ruszała głową w rytm mikroskopijnych fal. Zrzuciła koc, chwiejnie wstała. Szukała obudzonych twarzy, aby na nie spojrzeć, otworzyć usta, ustalić położenie, zdecydować, o co mogło chodzić. Włosy strzelały we wszystkie strony, żółtawo-brązowy długi mech, który przylepiał jej się do niewielkiej głowy. Wreszcie mnie wypatrzyła, starała się tuptać zgrabnie, pomimo że miała tylko jednego buta, a na drugim skarpetę z dużą dziurą. Sen lepił jej jeszcze oczy, kokony z mgiełką nocy wisiały jej na powiekach. Policzki zaróżowiły się od słońca.

– Co tu się stało? – spytała, stojąc już przede mną.

– Było ognisko... A jak się tu dostałaś?

– Przyjechałam, tam jest mój samochodek – wskazała w kierunku furty, uwierzyłem jej na słowo, nie chciało mi się odwracać.

– Myślałem, że rozmawiam ze starszą kobietą.

– Czasem łapię takie nastroje i maniery przez telefon, ale i tak pewnie jestem starsza od ciebie, młodo wyglądam. Poszukamy go? – spytała po dłuższej chwili, zapalając oczy, podnosząc się na palcach i opadając, uderzała mnie przy tym palcami po kolanach.

Błąkaliśmy się po lesie, drzewa postawione na sztorc salutowały przed słonecznym wrzaskiem, potem ogłuszająca cisza jak w kapsule próżniowej. Owady uderzają w niej o szklaną szybkę, wilgotny kłosz je odgania, ciekła lawina piasku, biały tor, kopce mrówek, kilka niosło liście na muskularnych plecach, układ scalony natury, dwie płytki, spięcie, piorun dosięga ziemi. Schemat zerojedynkowy, noc i dzień, energia i jej brak. Bramy lasu przyjmują sygnały, dalej w głębiny niosą informacje sójki, borsuk jak na sznurku wskakuje do nory. Wilki, których już nie ma, to układ immunologiczny, pod spodem korzenie-nerwy, największe z drzew niczym spróchniały ząb.

Nuciła cicho, szła boso, rozganiając grudki piachu. Ładnie, bardzo ładnie gadała do siebie.

– Nie wiem, czy to ma większy sens – zatrzymałem się, patrząc

w czubki drzew. Coś jak stułbia, wewnętrzny oddech, wbite strzały rzu-
cane bryzą.

– Ale gdzieś tu musi być – uśmiechała się.

– Raczej go tak nie znajdziemy.

– Kiedy go ostatni raz widziałeś? Mówiłeś, że zdrowo wygląda. Kiedy uciekł?

– Jak wróciłem z miasteczka, rozpędził się i hyc do lasu. Myślałem, że to jakiś żart, ale wsiąkł na dobre. Zniknął.

– On zawsze miał swoje humorki, był inny, nikt go nie rozumiał w mieście. Kiedyś wymyślił, że jest otoczony przez czerwień. Śledziła go, podsłuchiwała, chował się pod stołem w kuchni, żeby się od niej odciąć. Walczył z nią miotłami, wieszakami, drewnianym mieczem, słuchawką od prysznicza.

– Skąd wy się w ogóle znacie?

– Byłam jego studentką. Tak się poznaliśmy, byliśmy kilka lat razem, tylko go ciągle tutaj rwało. Spędzał tu coraz więcej czasu, już nie tylko weekendy, przyjeżdżał w tygodniu. Zostawiał mnie bez słowa. Przyjechałam do niego. Zaczęliśmy tu razem żyć, ale wytrzymałam tylko kilka miesięcy. Nie mogłam go znieść, był nieludzki. Codziennie inny, raz bywałam jego małą dziewczynką, a później krzychał, że mam wypierdalać, bo na pewno się kurwię – zawstydziała się po tych słowach, chciała je z powrotem przełknąć, albo wypluć i przydeptać piachem. – Zmienił się tutaj, chciał tylko rzeźbić i gapić się w jezioro, choć nawet się w nim nie kąpał. Jak wariat. Nie mogłam na niego patrzeć, wychudzony, oczy gdzieś indziej. Nie poznawał mnie, czasem bił w dziwnym szale. Z płaczem uciekłam, ale, wiesz, jak to jest, mam go w sobie, tęsknię. Chciałabym go widywać, ale sama już nie wiem, czy da się go wyciągnąć z tego lasu.

– Przeplątny się po jeziorze – przejechałam jej po wargach palcem jak dziecku.

– Chętnie – wsunęła mi ręce pod łokieć.

Ósemki robione wiosłami, drewniana trumienka, kilka ziaren piachu przyniesionych przez ptaki, potem łopatomy przetoczyć grudy ziemi, wy-

sypać gruz, stworzyć wyspę, a następnie połączyć całe jezioro. Miałem nadzieję, że tak się nie stanie. Mknąć, lecz wolno, po wodnych płytkach, zanurzać się, brodzić w zielonej ślinie, soku deszczówki, chmurach w kształcie ust tworzących nawałnicę, czarnych bułkach, pięściach burz. Kiedy wreszcie nadejdą? Nic tu od dawna nie spadło, niebo miało wargi zawiązane na supeł.

Popłynęliśmy w strefę drzew, dryfowaliśmy ospale, wspólne lenistwo wraz z wodą. Odkręciłem zakrętkę, pociągnąłem kilka łyków, zgarnąłem wcześniej niewypitą butelkę z wypłowiałej trawy. Cierpki smak malin, powiew spirytusu. Podałem jej butlę. Wzięła, łyknęła zdrowo, a później bawiła się włosami, pokazywała mi język, jeździła nogą po wodnych górkach.

– Jak ty masz właściwie na imię? – spytałem.

– Przecież mówiłam przez telefon.

– Mam słabą pamięć.

– Ania, A ty Rysio, tak? Imię jak dla dzieciaka.

– Niech będzie Rysio.

– I co ty tutaj robisz?

– Przyjechałem i siedzę, gapię się w jezioro.

– Zawsze mnie zastanawiała ta zgraja dziwaków, a Ogierek się tak dobrze z nimi dogadywał. Niektórych nie potrafię zrozumieć. Szukają czegoś całe życie, a to jak balonik z górnem, który dawno odleciał albo nigdy go nie było.

– No wiesz, też tutaj przyjechałaś pchana dawnymi złudzeniami.

– To jest cały czas żywe, płonie spokojnie, ale ciągle jest namacalne, potrafię to przywołać, poczuć się jak dawniej. Już niby mam nowe życie, jakoś mi się układa. Jest regularnie, odpowiednio, wszystko mam zapewnione. Dobrze mi się wstaje, dobrze zasypiam, ale to tylko taki słoneczny, schematyczny dzień jak z rodzicami na wakacjach. Nie ma błysków, tego czegoś, wybuchu, strzału z łąpy jak w nadmuchany worek.

– Czyli jak czasem dał w ryj to było prawdziwe życie?

– To nie tak! – zdenerwowana zaczęła bić o łódkę i taflę wody, popijając później kilkakrotnie z butli, aby się uspokoić. – Czasem jedno za-

bawne słowo wystarczyło, gest, tak jak czasem radośnie nadymał policzki, coś skomentował, jakoś mnie nazwał. Inaczej się czułam. Taka doskonała płaszczyna, ale może nie da się tak cały czas.

– Mówiłeś przez telefon, że o mnie opowiadał? – zagadnęła po pewnym czasie.

– No... czasem coś pierdnął.

– I mówiłeś, że sobie mnie wyobrażałeś?

– Ładniejsza jesteś, niż w jego opowiastkach, to na pewno – chyba sztucznie się zawstydyła po tych słowach, odwracała głowę, szybciej sączyła z butelki.

– To myślisz, że po co oni tu wszyscy przyjechali, po co tu siedzą? – spytała po minucie.

– Wydaje mi się, że czują się za coś odpowiedzialni. Każdy z nich jest obarczony wieczną winą. Jakbyśmy się rodzili już w jakimś olbrzymim układzie zależności, w którym jesteśmy przegrani, potępieni z góry.

– Ja myślę, że oni uciekają od odpowiedzialności, mają dosyć powinności, do których przecież można się łatwo dostroić. Im się do końca nie chce. Wołają się rozkładać, zapominać.

– W takim razie odłóż tę butelkę, niewinna dziewczuszko, to takie gadanie jak u młodych przedszkolank w kantorku, kiedy się dzielą relacjami z pierwszego dnia pracy. Każdego dzieciaka kroją tak samo, ten sam skafander chcą mu ubrać.

– Co? Nie myślisz, że Ogierek po prostu stchórzył?

– Myślę, że też zabiła go odpowiedzialność, szuka jakiegoś dziwnego odkupienia.

– Za co on niby był tak bardzo odpowiedzialny, że uciekł?

– Może za ciebie?

Zamilkła, łykała szybko owocowy spirytus. Niespokojnie ruszała rękami, cmokała, zamknęła się w swoim nieruchomym tańcu.

– Daj mi jeszcze trochę, bo wszystko zaraz wypijesz.

Rozłożyłem się na łodzi, zielona farba odskakiwała z piskiem, gdy wjechało się paznokciem w drewno. Gałęzie lizały nam głowy, chciały dosięgnąć wody, zamoczyć się trochę, przemyć liście, zanieść do pnia

garnek żółtej wydzieliny. Coś ruszyło się w krzakach, jednak ptak, który za chwilę poszybował w czeluści ciepłego lasu.

– A za co ty się czujesz odpowiedzialny? – spytała nagle, już lekko pijana, powoli wracając do stanu z nocy.

– No rodzimy się z dozą odpowiedzialności, ale chyba to mnie od nich różni, że nie oskarżam się o rzeczy, na które nie mam żadnego wpływu. Mnie podgryzają sprawy, które według zastanej rzeczywistości, a do niej wypadłem z matki, powinny mnie dotyczyć. Są różne pomysły na świat, według niektórych powinienem iść przed siebie i nie zważać na nic. Coś w tym na pewno jest, ale dręczą mnie, od czasu do czasu, pewne wątpliwości.

– Co na przykład?

– Może to głupie, ale na przykład jak nie będę miał dzieciaków, to moje nazwisko utknie. Od dzieciństwa przychodziła ta myśl nocą, jak jakiś wielki, materialny nakaz. Potwór pukający do okien.

– No, ale chyba nie miałaś wpływu na to, w jakiej rodzinie się urodziłaś?

– Pewnie, że nie miałem, ale teraz stoję i widzę, że odpowiedzialność istnieje, chowa się po kątach, czasem puka w okno.

– To jest zbytni idealizm – skończyła butelkę i rzuciła ją do wody. – Buja się w wspaniałych wizjach, cierpi się w nich za innych, rodzinę, a w prawdziwym życiu daje się im po dupie, może nieświadomie, niechcący. Można siedzieć na górze, myśleć o świecie, ale to wszystko rozgrywa się między małymi sprawami. I niektórzy spektakularnie je pierdolą – zatoczyła się na pokładzie, ale utrzymała pozycję i uśmiechnęła się głupkowato.

– Nie chcę mi się tego słuchać – rozsiadłem się wygodnie i zamknąłem oczy, ale ona nie miała zamiaru rezygnować.

– Bo tak można przyjść przecież, dać rano całusa, a nie dłubać w tych pniakach pierdolonych, przytulić się, a nie gadać jakieś kocopoły o absolicie!

Krzyczała prawie, ale udało mi się wyłączyć jej rejestry dźwięku, i niewiele do mnie dochodziło. Wyglądało to, jakby wypuszczała nieme bań-

ki z ust, piękna rybka. Zacząłem ruszać ręką w wodzie i zbliżyć się do butelki. Wyjąłem ją, nie śmiejąc pogroziłem jej palcem, a ona dalej i dalej zatapiała się w swojej melodii skarg.

Strzały

Łódź dobiła do ściany lasu. Dziewczyna zażądała przejścia się w głąb zieleni. Wyszła chwiejnie z łódki, stopy zamoczyły się w miękkiej ziemi. Podnosiła je jak bocian i próbowała przetrzeć. Przeniosłem ją kilka metrów i usadowiłem na mchu i trawie. Wzięła sobie niewielki patol i cięła nim powietrze, uderzała o drzewa, kora odskakiwała. Było jakby mniej piachu, las gęstszy, wpuszczał niewiele światła, tylko gdzieniegdzie słoneczne rury dochodziły do ściółki, masując ją bez ustanku. W jasnożółtych promieniach na tle ciemnozielonej jaskini pływał kurz, las oddawał życie, grzybnia, rozbity grzyb, purchawka, która wypuściła kule dymku, jakby była to sztuczka magika, cyrkowca. Las jako mały objazdowy teatr, to my stoimy, a on do nas przyjeżdża. Trupa gąsienic odgrywa diabelskie kręgi borów. Ryk dzików, turlanie się w błocie, leszczyna garściami spada w liście.

Mała polana, obalone drzewo zżerane przez podziemne bandy. Trzy płachty słońca znalazły miejsce w gęstym dachu lasu. Wysokie trawy, w oddali małe oko wodne. Usiadła pod pniakiem, wciąż bawiła się niedługim patykiem, rysowała w powietrzu. Położyłem się na polance, partryłem na koniec kija, maszerował, leciał w przestrzeni. Mnóstwo kółek przed oczami, podróżowały z góry na dół. Znów astygmatyzm dał o sobie znać. Kijek opowiadał historię, coś jak malunki na piasku, drzewa klepsydrą, muszą opaść wszystkie gałęzie, wzniecony pożar przyspiesza sprawę, biedne wykałaczkki, nawałnica poprawia, zrzuci je do wody. Życie to jeden ruch patykiem? Prosta od punktu A do punktu B. Nie, to bez sensu, może wsadzenie palucha w błoto? Zostaje punkt. Kto wie, czy to nie świst, kawałek drewna dawno opadł, ale lekki szum wciąż słychać. Odbija się w uszach. Tych, co byli przed nami, słychać w muszli, tyle po nich zostało. Dosyć tych pomysłów, sztuczek. Dla niektórych jest to jak zwymiotowanie pod murem, boli przy tym krzyż i prostata. Nagle wyobrazasz sobie wielkie nic, oddech zamiera, kule wsypują się do płuc. Jesteś jak kropelka potu na skroni. Dla innych to jest krzyk, wrzask, dwie

szyszynki powoli spadają, toczą się po górskim strumieniu.

Położyła się obok i patrzeliśmy pod leśny sufit, brunatna siatka, jak pchły na psiej skórze. Spojrzałem w bok, twarz ulepiona z gliny, kilka żółdzi, smagnięć wiatru, kropli soku rozbijających się na kościach policzkowych. Wzrok sunął w dół. Góra, dół, góra, dół, lekko podniesiona bluzka, miękkie włoski nad pępkiem, brzuch jak spód ręki.

Ręka powoli chodziła po ramieniu, szwadron paluchów, ciepłe pająki osiągnęły piersi, krótkie tarcia i kółka, jej główka wtuliła się pod ramię, znalazła tam norę, sucho oddychała, dmuchała ciepło. Misa bioder, wrzucić dwie krople, rozchodzą się kręgi, można z tego wróżyć. Wiatr, rozczochrane włosy, mędrzec w szale wieszczy siedem lat tłustych dla Polski. Na posładkach mgła, rytm ruchów rąk i nóg. Guziki jak kolejne wystające kręgi, ciepła plecha, ziemia gąbką. Układy kostek, załamania żeber, odgarnianie skóry, usta grają w pieczętki; tatuaże śliny, paznokcie ryją niewidzialne kształty. Spychanie ubrań, powieki oddają las, konary w rytm turlają się z góry, ktoś wyciągnął spod nich sukno, obrus. Skóra na udach sprzedaje ukrop, jej nieznacznym ruch, niczym woda w krystalicznym wiadrze. Takt i kula, dziury w nosie wzmocniły oddech, oczu nie było, podróżowały w głębinach, lekko wystająca broda uwypukliła się bardziej, włosy walczyły z trawą. Stopy i dłonie zagarniały miękkie mech. Lekko podwinięte kopce; zaciśnięcie nóg, rytm płynów, balsamowanie się w wielkich ustach, jak szczeliny wydrążone w skale schowane w pięści. Otwiera się dłoń, owad odlatuje, kapie na niego rosa, żywica wypływa z kory. Siada na niej komar, zakończenie za kilka milionów lat, fabułę zna chyba każdy.

Uda połączone planem dogorywały, pomarańczowe potwory, balony z mąką ziemniaczaną, cienki strumień płynów, dróżki potu, ślad, który zostanie w cieniu. Dwie nitki makaronu szukające wyjścia z owocu, trzeba przebić skórę, przepłukać pestkę w ustach, wypluć przez zęby, poczuć zapach ludzkiego błota, taplania się w gwarze; kiście krzaków, mózg ziemi, galaretką z piasku, olbrzymi język podróżuje kilka metrów pod powierzchnią.

– Wiesz – zaczęła cicho. – Ogierek miał dziwne znamiona na plecach, coś jakby kształt anioła na lędźwiach.

– Mogłabyś o nim przez chwilę nie mówić?

Odwróciła się i cichutko beczała, przykładając twarz do gliny, rwała końcówki traw, skubała mech. Słońce odeszło, pierwsze parne znaki mroku wsuwały się na łąkę. Dotykały skóry, lizały głowy, uszy, plotły swój wiklinowy, czarny kosz.

W kompletnej ciemności szukaliśmy wyjścia, spróchniałe kwadraty wskakiwały pod nogi, wysypywane klocki nocy, szatańskie karty. Trzymała się mocno, mówiła, że boi się nocy. Wejście w miękką glinę, dotknięcie wody. Łódka czekała, lekka księżycowa poświata odbijała się na wilgotnym szczytce. Wsadziłem ją na pokład, zabrałem się do wiosł. Las się oddalał, linijka szuwarów, pierwsze schematy gwiazd. Pokazywała swoje ulubione konstelacje, cieszyła się jak dziecko, gdy odnajdywała następne. Stuk łódki o brzeg. Przy ognisku gwar, znów zaczynali, chcieli dosięgnąć pustki, poczuć liźnięcie ognia w dymnym wigwamie.

Przywitaliśmy się, Druh serdecznie się śmiał. Poszedłem położyć ją do domu, w swoim kącie, barłogu z koców i poduszek. Opadła lekko, tuliła się do drewnianej podłogi, podróżowała palcami po wystających piórach ze starych poduch. Przyciągnęła mnie do siebie, a później spadła w sen, jak falujący nad wodą duch, zgaszona świeca, dopalony knot.

Usiadłem przy ognisku. Nie brałem czynnego udziału w obrotach butelek i skrętów. Nie wydawali się zadowoleni, tylko Druh z zapasem dobrego humoru szeptał mi na ucho swoje strumienie i odloty.

– Co, odpowiednio się nią zająłeś? – zaczął Buda, wbijając patyk w ziemię.

– O co ci chodzi?

– Jest problem, wioskowe chłopaki przestały przywozić jedzenie – powiedział ktoś w mroku. – A był wieloletni układ, sporo za to dostają.

– Może się filmów naoglądali i chcieli przyzwaniaczyc – dodał następny.

– Czemu wy nie możecie sami sobie przywozić żarcia?

– Nikt się stąd nie chce ruszać, zresztą bywamy niemile widziani tu i ówdzie. Co? A jak cię to tak dziwi, to sam się tym zajmij.

– Gadał ktoś z nimi?

- Noże wzięli, zaczęli straszyć, psy spuścili, wieśniaków skok na kasę.
- Ile są winni?
- To jest tak, że pieniądze mają co miesiąc na koncie, ktoś taką opcję ustawił, jak jeszcze był w mieście.
- No to cofnijcie to i tyle.
- Raczej nie ma takiej opcji.
- Nie rozumiem was w cholerę.
- Nie musisz nic rozumieć, po prostu ci mówię, albo się ich nastraszy, albo jesteśmy w piździe. I tak sprawa wygląda.

Wszyscy zamilkli, Druh kompletnie nie przejmował się powagą sytuacji. Sączył mi dalej na ucho. Kaczki maczki. Wyspa robotów. Dwóch młodzianów siedzi na czereśni, na ziemię spadają tylko pestki. Bomby wypadają z samolotów, zaraz się to cofa. Przyszli, zjedli śniadanie, uczyła go tańczyć, stara roślina na półpiętrze. Pracowała w kawiarni, on był tak wstydlivy. Wrzucili zwłoki do kłębiastej wody. Ukrywał zdjęcie siostrzenicy w pudzermu, poznana Meksykanka w autobusie, przejście na pole bawełny z głośnym młaśnięciem, naga dziewczynka podpatrzona na skraju jeziora, roślina oplata dom.

- Weź się uspokój! – złapałem go za głowę.
- Co?! – zerwał się na równe nogi. – To jedziemy wystraszyć gnoi?!

Tłumek się zebrał, oddechy wręcz rewolucyjne. Ktoś wyjął wiatrówkę spod ganku, krzyki, napięta atmosfera. Nie poznawałem tych ludzi w szarych, wytartych od słońca płaszczach. Druh zaciągnął mnie do auta, sam usiadł za kierownicą. Na tyły oczywiście wskoczył Rączka, naoliwiając długie palce, ładując karabinek dłoni. Buda został, wzniósł pięść do góry i patrzył zza płotu. Rączka przybijał dłonie kompanom z tyłu. Druh się dał, szybko wykręcił auto i popędziliśmy w noc.

Druh rzucił mi wiatrówkę strzelaj, jak będziemy na miejscu.

- Nie strzelałem nigdy!
- Dasz sobie radę.

Żółte reflektory penetrowały ciemność, leśna kręta droga, co chwilę skręt w inną stronę, wystraszone oczy saren, duchy lasu. Druh jeszcze przyspieszył, z problemami wchodziliśmy w wiraże, kupy piachu wypa-

dały spod kół. Chciałem mieć raczej łuk, napinać go, ciskać brązowe linie przed siebie, atakować spacjami, podciąć nogi przecinkiem. Czy to ten moment, gdy kula poleci w przestrzeń?

– Cholera nigdy nie strzelałem i nie chcę!

Las się skończył, pierwsze małe zabudowania, tam światła, ludzie siedzący przy stołach, włączone telewizory ze słabym odbiorem, dwie karty lecą nad ceratą i zwycięstwo w tysiąca.

– To ten dom! Dawaj!

Wystawiłem broń przez okno, za nim ciągnął się płotek. Czerwony dach, kilka osób robiło grilla, obok nich spało dziecko w wózku. Rączka nie miał skrupułów, szył z ręki bez opamiętania. Wystrzeliłem. Coś dosięgło dachówki, świst powietrza, jeszcze drugi strzał. Szyba w oknie roztrzaskała się z brzękiem. To ja czy Rączka? Ludzie zerwali się spod małego paleniska, zaczęli wygrażać. Druh sprawnie zawrócił. Znów osiągnęliśmy las. Słyszałem coś jakby płacz dziecka, szkliste odłamki spadały na ziemię. Ciągłe widziałem ten obraz. Rączka śmiał się jak szalony. Pierwszy raz trafiłem!

– Dobra robota, kurwa, dobra robota! – Druh walił mnie po kolanach. Krzyczał jak szaleniec. Z tyłu stado wilków, Rączka miał potrójny orgazm. Wystrzelona kula wyleciała z metalowej rurki, losowa trajektoria, jak daleko od dziecka w wózku?

Szklany reflektor, nocny zwycięzca dopchał nas z powrotem pod naszą chatę. Druh i Rączka darli papę.

– Zwycięstwo! Zwycięstwo! Unosili palce jak Wałęsa. Wpadli w uści-ski reszty. Buda wziął wiatrówkę, ucałował mnie, poczułem jego twardy zarost. Później tańce, śpiewy, nieprzyzwoite historyjki, tysiące butelek wyciąganych z piwnicy, różne proszki, mały, kruszce zawijane w rulony. Ślinione, tryskały w płucach, osadzały się stalaktyty szaleństwa, uderzenie w głowę jak kamień stoczony po dachu.

Wyrwałem się pośpiesznie. Położyłem się obok chudego ciała. Obok drugie, mniejsze i jeszcze chudsze. Chinka wczepiła się jak małpka, jak rzep w sweter. Wystrzelona kula, jej droga, rozerwała powietrze. Jak to jest możliwe? Ciekł szklany pył jak z witrażu w Notre Dame. Gorące szkiełka w grillu. Wszystko w momencie wystrzelenia musi mieć cholerną rację.

Sen Chinki

Oczy otworzyły się same. Czarny sufit, z okna płynął cichy stukot natury. Języki rzadkiej mgły wchodziły do domu. Ukłakłem. Zastanowiłem się chwilę nad tymi, którzy robią to w pewnych celach. Wstałem nieporadnie, wyrzałem przez wiecznie otwarte okno. Nad jeziorem snuł się mglisty proszek, trawę opanowali biali jeźdźcy, kolejne piętro flory, ktoś to przedstawia znakiem równości. To nie była noc na toczenie waśni z mgłą, wróciłem na posłanie. Ania spała nieruchomo, zaległa i nie zmieniała pozycji, wieczny zimowo-letni sen, za to Chincezka ruszała się jak w malignie, walczyła z krwiozerczymi potworami. Położyłem się między nimi, przycisnąłem do siebie dziewczynkę, a ona jakby to poczuła. Wpiła się mocniej jak małpka na oliwnej gałązce. Przesuwała się ku górze, taka cielesna winda dla małych ciał. Ruszała rękami, jakbym był obeliskiem z gliny, który trzeba poprawić, dotoczyć, przejechać jeszcze kilka razy, aby dodać odbicia liści i rąk. Dotarła do szyi, za chwilę znalazła się przy głowie. Wystawiła język, zrobiła z niego rurkę, podłączyła się do ucha. Wyglądaliśmy pewnie jak matka z dzieckiem, połączeni zadziwiającą uchwinną, syjamski wybryk, znaleziona figurka w niespotykanym kształcie.

Szeptala. Z początku jej nie rozumiałem. Nie umiałbym zapisać jej języka. Było to jak potok liści, zapach kropel z lasu, ruch olbrzymiej dłoni nad niewielkimi falami, rozlewającymi się na długą plażę. Po chwili złapaliśmy kontakt, zaczęła snuć zrozumiałe dla mnie historie, a one wlatywały mi do głowy, tworząc nowy świat.

Skrzypnięcie podłogi. O tych porach było całkiem spokojnie. Rodzice spali na dole, a Nini w swoim małym pokoiku na strychu lepiła ze snów kulki. Sznur myszy, zgraje pajaków chodziły po baldachimie łóżka. Wycięte z papieru lampiony odbijały cieniem szpaler latarni na niedługiej ulicze w miasteczku portów, stoczni, doków, smagłych marynarzy, którzy lubili rozbijać się z butelką, spać na ulicach, czekać na pęk dziewczyn, dar od kultury dla kultury.

– Szu, Szu – ktoś szepnął za oknem. Dziewczynka się wystraszyła, skryła twarz pod białą kołdrą. Szu, Szu znów ozwało się. Nini spojrzała ze strachem w kierunku futryny, lampiony powiększyły się złowieszczo, latarnie ruszały głowami jak żyrafy. Olbrzymia Twarz z wielkim nosem patrzyła na nią i mówiła Szu, Szu.

– Nie jestem Szu – odezwała się nieśmiało.

– Wiem, ale pytam, czy jest Szu.

– Nie ma jej.

– Bardzo mi smutno, że jej nie zastałem.

– Szu jest w szkole z internatem. Ma się tam uczyć informatyki. Będziemy dzięki temu informatyczną potęgą.

– Bardzo mi przykro, a ty jak masz na imię?

– Nini.

– Też ładnie, ale nie wiem, czy masz to, co mnie interesuje. Szu dawała mi papierosy.

– A skąd ona miała papierosy?

– Podobno kradła je waszemu ojcu z nesesera.

– A to wariatka!

– Była bardzo miła.

– Dlaczego masz taką dużą głowę?

– Bo jestem tylko wielką głową, nie mam reszty ciała. Właściwie jestem zaledwie twarzą, można mnie zobaczyć tylko, gdy stoję prosto. Gdybym się obrócił, to bym zniknął. Jestem idealnie płaski.

– Nie wierzę ci – po tej uwadze Twarz się obróciła i zniknęła.

– No dobrze, wracaj! Wracaj!

– Więc jednak mnie lubisz.

– Nie lubię palaczy.

– Popalam tylko nocami to, co dadzą mi dzieci.

– Ja ci nic nie dam, preferuję marchewkę i sport. Ciężko pracuję, żeby dobrze skakać.

– No daj, panienko, jednego papieroska.

– Nic ci nie dam – po tej odważnej odzywce Twarz wsunęła się do pokoju, odgryzła kawałek poszwy i wróciła na ulicę.

– Jesteś okropny! A kysz!
– Nie widziałem na prześcieradle krwi.
– A czemu miałyby być krew? Nie jestem chora.
– Nic nie rozumiesz! Szu więcej wiedziała o życiu niż ty.
– Chyba raczej nie, panie Twarz, Szu siedziała całymi dniami przed komputerem, a ja jestem ciągle na dworze i w ruchu. I jestem na tyle mądra, że wątpię, abys umiał palić. Dym się nie zmieści w twojej płaskiej twarzy i po prostu uleci, więc robisz to bez żadnego większego sensu. Taki pusty gest! Uprawiasz nocą puste gesty! A mój sen, moja noc to czas prawdziwego odpoczynku, kiedy metabolizuję zjedzoną marchew. Nie mam na ciebie czasu!

– Kiedy palę, papieros oraz dym też są płaskie.

– Twoje myśli są płaskie, panie Twarz, niczego bym się od pana nie nauczyła, to jest bardziej niż pewne! Jakby poznał pan mojego trenera Terilę, to byś zobaczył! Jest najlepszy na świecie, mężczyzna z krwi i kości, a nie jakiś posrany nocny malarz, przepraszam, palacz!

– Chyba nie wiesz, o czym mówisz, dziewczynko. Spójrz mi tutaj na ulicę, co ja naprawdę wyrabiam – dziewczynka wygrażając piąstką, podeszła do okna, Twarz uniosła się do góry i zaczęła spluwać. Na bruku leżała olbrzymia księga, ślina dosięgała kartek, rozpryskiwała się, wsiąkała, tworząc dżungle, miasta, lasy, statki, kominy, gryzący dym i kwiaty.

– I co, jesteś już przekonana?!

Nagle Nini porwał wir, miasto niczym kartki zaczęło się składać, rozkładać; ktoś z piszczalką, pola złotego ryżu, dwie podziemne piramidy, klify, długa plaża, a na niej garść czerwonych piłek. Nini pędziła boso po tafli srebrnego oceanu, wielka Twarz ciągnęła ją zieloną linką. Delfiny skakały, wieloryb tryskał magmą, koralowce plotły jej bransoletki na nogi.

Dopłynęli do wyspy, Twarz buszowała po dżungli, zniknęła w którymś ze strumyków. Nini została sama, przed nią stali wychudzeni mężczyźni. Mówili coś, pokazywali swój pusty, wielki gar.

– Nic nie mam, nic nie mam – broniła się, ale oni się zbliżali, wyciągali ku niej ręce. Uciekała przez piaszczysty las, z tyłu słyszała oddech zmęczonych mężczyzn. Nagle śmignęła wielka Twarz i wyciągnęła ją nad

koronę drzew. Skóra na jego nosie wybuchła, trysnął choinką, na której wisiały małe cukierki, waty cukrowe i bilardowe kije.

Spokojny strumyk, dotknięcia wody, miękkie kleszcze oblepiały paluchy. Wypatrzyła krzak jeżyn, były już dobre, całkiem smaczne. Zajadała się spokojnie, każda część kiedyś połączona rozpadała się, małe kulki rozplływały się w ustach, strumyk soku płynął jej po brodzie. Strzał bata, uprząż z traw, gwałtowny chichot.

Znalazła się przy porcie, zgraje roześmianych marynarzy kłębiły się w ciemnych, krótkich uliczkach. Mówili w nieznanym językach, kilku dotknęło jej głowy. Nie, nie krzyczała. Jeden chciał wziąć ją pod ramię, ale pierchła za worki z ziemniakami. Tam znalazł ją następny, pogilgotał za uchem, trzepnęła go pośpiesznie w policzek i uciekła co sił. Każda z dróg wyglądała tak samo: kamień, ściany, sznury z praniem, czerwone kokardy. Ktoś strachliwie przejeżdżający na rowerze przez przesmyk.

Dobrze, znalazła uliczkę. Pokazały się drzwi jej domu. Pukała wściekle. W domu ciche poruszenie. Niewielka brama się otworzyła, ojciec zostawił tylko szparkę. Kto tam, kto tam pytał przestraszony.

– To ja, Nini!

– Co ty tu robisz, dziecko?! – wybiegł i szybką ją przytulił.

– Nie wiem, tatusiu, ja nic nie wiem!

Siedzieli w kuchni, ojciec zrobił jej herbatę z malin.

– Zapomnijmy o tej sprawie, nie mówmy nic mamie.

– Dobrze, tato. Powiedz mi, kiedy można odejść? Kiedy trzeba opuścić nasze światy, mimo że jest nam miło?

– To nie jest wszystko tak proste. Weź tamten lampion z żółtej szafki

– Nini spełniła jego prośbę i postawiła przyszłego świetlora na stole.

– Chodźmy na podwórze, pokażę ci coś.

Ojciec trzymał lampion, a Nini go odpaliła. Papierowy statek na początku wił się w podwórze, ale za chwilę poczuł wiatr w sobie i popędził co sił w dalekie czarne chmury.

– No i widzisz, jak uciekł?

– No tak, zawsze kiedyś znikają.

– I to tak, nie o to chodzi, żeby zniknąć tak szybko. Lepiej trzymać

się naprawdę długo. I nie myśl o tym jako o przywiązaniu do sznurka. Bo sznurka nie ma, to tylko taka moc, która trzyma, ale to nie jest zniewolenie, tylko czysta i jasna chęć. Nie myśl też o tym, jak o bumerangu. Nikt od ciebie tego nie wymaga. To jest jasny, równy i najważniejsze, że twój lot.

– Sama już nie mam pojęcia. Mam nadzieję, że ten lampion spadł jakiemuś marynarzowi prosto na głowę!

– I nikomu źle nic nie życz – ojciec pokiwiał głową.

Wracali do domu, pożegnali się na schodach, ale Nini jeszcze złapała ojca, przytuliła i spytała:

– Naprawdę palisz? Naprawdę chowasz papieroski w starym nesese-rze?

– Tak, chowam je tam, i pamiętaj o najważniejszym. Każdy z nas ma swoją małą tajemnicę i nie trzeba komuś ciągle jej wypominać.

Nini weszła do pokoju, wyglądał całkiem inaczej, na łóżku spała spokojnie Szu. W odruchu wstrętu chciała ją zepchać, zabrać jej prześciera-dło, lecz nie zrobiła tego. Wzięła spokojnie koc i położyła się na drewnia-nej podłodze. Noc wygasła, ostatni marynarze zapijali się na śmierć, morze miało poranną chandrę, w ulicy mały pies szybko biegł w kierunku jasnego przesmyku.

Chinka odlepiła się od ucha, wyjęła przyssawkę. Ułożyła się już spo-kojnie, nie trzęsła się jak królik. Uśmiechnęła się i wylądowała w kolej-nych snach. Patrzyłem w sufit. Też coś wisiało nad ścianami, kawałek ubrań wbitych na hak, źle przywieszzone obrazy, kartki. Wielki, wspólny oddech kilkunastu ciał, możliwe, że gdzieś też samotny oddech. Może tak, a może nie. Myślałem o podwórku, lesie, jeziorze, widziałem w nich olbrzymie stopy, później nogi w starych szpilkach; płyta z gramofonu, wiekowa potańcówka, krople potu spadające w trawy. Kroki tysięcy, w wielkim przedwojennym śpiworze; pisali listy, kroili czas, chowali go do kufra, wcześniej całując. Nikło to wszystko, gdy skrzynie wyrzucano przez okno. Świst wspomnień, zeszyty spadają do wody. Po kartce płyną krople, potem żar. Pośpiesznie wzniecony pożar ciągnie się przez świat. Spokój, kaszka z nieba, olbrzymie dzieci piją zieloną papkę z butelek.

Życie nabiera formy, pierwsze kroki na ganku, jedni wchodzą kominem, drugich wnosi się przez próg. Krety żłobią swoje drogi, ktoś wysypuje trutkę, auto chowa się w uliczce. Ręce zapędniają się innymi ludźmi, w lustrach widać uśmiechy, czasem tylko gwóźdź wbity w dłoń, upadek z drabiny, nadeptanie na szkło, ale to nic, to nic.

Słońce

Dotknięcie taflı jeziora, z palców kapaly krople. Słońce rozłożyło na wodzie swoje prześcieradło, laną gumę, skrzeczającą folię. Dwie wałki w szalonym kłębowisko przeleciały mi koło ucha. Na podwórku już wszyscy zajęli swoje miejsca, aby może już dzisiaj się wysuszyć do końca, rozpaść, skurczyć jak wigilijna śliwka; wielki chrząszcz przyszedłby później, wyjął sprawnie szczypcami pestkę, a potem doturlał ją do jeziora.

Poszedłem do dziewczyn, które leniwie rozłożyły się na kocu. Z Chinką przywitałem się dotknięciem palcami i cichym plumknięciem. Dotknąłem swojego ucha porozumiewawczo, ona zrozumiała i puściła mi oko. Ania wyciągała ręce jak kwiatek w celofanie, żarłoczna rosziczka, która chce wszystko połknąć, ośmiornica jedząca zostawianą przez ludzi jajecznicę. Potuliliśmy się chwilę, szeptała jakieś ciepłe, i chyba ciut przesadzone, słówka, odpowiadałem półgębkiem, bo chyba każde słowo to danie pieczętki w papiery życia, żelazna deklaracja, naciśnięcie przycisku windy, która jedzie tylko w jednym kierunku.

Zgraja leżała rozrzucona po brunatnej trawie, piszczącej o zmiłowanie do gorącego pucharu, który pływał w wielkim, przepastnym niebieskim oku. Niebo bywa nudne bez chmur, patrzyłem mocno w górę i chciałem rozerwać ten wręcz granatowy koc, potem zaszyć go białą nitką, odwrócić słońce i przykleić je nocy do czoła.

– Wyobrażasz to sobie, moglibyśmy sobie tak żyć w trójkę. Ja, ty i Chinka – powiedziała zawstydzona, grając w łapki z dziewczynką, która bawiła się setnie, wystawiając swoje spróchniałe zębiska.

– Chyba sama w to nie wierzysz.

– Nie takie dziwactwa widział ten świat.

– Muszę zawołać Rączkę, zaraz obstrzela twój pomysł.

Leżeliśmy, mordercza sješta i jej słoneczny prekursor. Uśmiechnięty talar, który wyszedł ze starych piramid, tam otrzymał odpowiednią uwagę, znamiona boskości, poczuł, że jest bardzo ważny i może bawić się

ludzkimi historiami, zmieniając ciągle postać, charakter, będąc nawet po czasie utożsamiony z roześmianym dzieckiem w psychodelicznej krajinie.

W ukropie zwykle panuje olbrzymia cisza, głosy się rozlewają, przestrzeń zagina, czas zwalnia, plastelinowe myśli krojone żyłką. Tak też było tym razem, koce, pledy nasączone ludzkim olejem, zostawiały odbicia, ślady osób, które leżąc, chyba godziły się z tą pozycją. Przejeżdżałem jej po nodze, oliwkowy fantom, kolano jak miękki sęk. Ona błądziła swoją ręką, jej chude palce oślepienie blaskiem odkrywały kolejne zakamary. Roześmiany Buda usiadł obok na suchej trawie.

– Jest dobrze, chłopaki z wioski przyszły się wytłumaczyć.

– I co im odwaliło? – ktoś spytał sennie.

– Dzieciaka mieli chorego, pieniędzy na lekarstwa potrzebowali

– Życiowe historie, przecież sam wiesz, że się to zacznie powtarzać.

– Jestem dobrej myśli – Buda z uśmiechem rozsiadł się w kurzu, popijając z butelki i podając nam ją od czasu do czasu.

– Wszystko u was w porządku? – spytał po chwili z przekąsem.

– Na pewno lepiej niż u ciebie.

– No w to akurat nie wątpię.

– Wszystko tam dobrze u tych ludzi z wioski?

– Ogólnie ich nastraszyliście, dobra robota. Mam nadzieję, że na tym koniec.

Alkohol wysuszył jeszcze mocniej zgnębione ciała. Tyczki z zaledwie lekko napompowaną skórą, brązowawym mięszem, białymi od energii włosami, wyspami piegów, płatów łuszczącej się skóry. Niektórzy tupali do niesłyszalnej muzyki. Może dla nich nie jest to preraźliwa cisza, tylko spokojna żółta gra na wielkiej podniebnej strunie, drżący dźwięk, muzyka piachu, suszącego się jeziora, zaszczutych drzew, pośpiesznie zerwanej ze smyczy natury, która harcowała i taplała się w preraźliwie gorącym miodzie, lejącym się z przestworzy.

Chinka coś powiedziała, wskazując na niebo, wujaszku, pierwsza chmura płynie. Spojrzeliśmy na niebo, minimalny obłoczek, jak plaster chleba, płatek śniegu, piąstka dziecka, sunął odważnie przez pole niebie-

skiego drapieży, pletwała szykującego olbrzymi ogon, aby strzepnąć intruza psującego doskonałą harmonię.

– Sytuację na niebie zawsze musimy porównywać do walki? – przyśiadł się zaspany Druh. Drapał się za uszami, skubał spaloną skórę.

– To jest skojarzenie automatyczne – sapnął Buda.

– Szkoda, że tak się wszystko potoczyło, że skojarzenia z walką wydają się naturalne – dodałem.

– Bo to jest cholernie naturalne.

– Można w tym też widzieć harmonię.

– A mi tam się to kojarzy, jak na przykład obserwuje burzę z wielkim grubym, burym zwierzęciem, które po prostu przychodzi się pokokosić – wtrąciła Ania. – Chce być przez chwilę widziane, a że ma takie złe manery, że prycha i drapie, to nie jest jego wina.

– Dobra, koniec z tym, bo zaraz się rozpęta dyskusja, czy człowiek jest z natury zły, czy to jednak wychowanie, czy zwierzęta myślą, mam tego dosyć – powiedział Druh, spijając kolejną butelkę.

Zawinałem się w połowę koca, chciałem na chwilę uciec od siedmiopromiennej gwiazdy, wymuszacza kontaktu bez porozumienia dwóch stron. Grzebałem w ziemi, wyrывałem resztki trawy, z płuc wydobywał się suchy dym, linia upstrzona trocinami.

– Przejdźmy się gdzieś, złapmy trochę cienia – zaproponowałem.

Poszliśmy z dziewczyną w kierunku lasu. Dłużej zatrzymała się przy rzeźbie z wielkim nosem. Zdawałem sobie sprawę, że przyszła nad nią mała chmura, dobre i zimne wspomnienia stłoczyły się w labiryntach głowy, ukłucie, może uszczypnięcie. Starła się nie dać po sobie tego poznać, ale nastrój lekko przygaśł. Oddalaliśmy się od domu i szop przez dziurę w płocie, a gdzieś tam pewnie on. Kilka metrów pod ziemią, rozmawiający z czernią, daleki od słońca, wdychający kurz gliny, wchodzący w korzenie roślin. Z wypłowiął skórą, lepiącymi się włosami, spijający drżącymi wargami wodę z kubka. Gdzie podróżowały jego myśli? Do góry czy w dół? Wrócił do brudnego łona matki, zabetonował się w nim, chciał się może zmumifikować, zapanować nad czasem, upodobnić do robaka, nie mieć już złudzeń dotyczących wątpliwej wielkości.

Obeszliśmy lasem jezioro i dotarliśmy do swojej małej polany. Ania uśmiechnęła się, kreśliła znów patykiem. Słońce w zenicie petardowało nasz gruby bór. Usiedliśmy na pniaku. Chwilę ruszały się ręce, czegoś szukały, ale była tym razem jak kropla lodu, więc oderwałem się wolno i zacząłem wgapiać się drogi piasku. Masy, drobiny, grudy, rozdrobniona tekstura, rozciągnięta przez wiele kilometrów. Mały owad dziwacznie rozkładający skrzydła, idący powoli po jej stopie z długimi paluchami. Ciosała patykiem w pniaku.

– A ty umiesz rzeźbić?

– Nie próbowałem.

– To co zwykle robisz?

– Żeby mniej się przejmować światem, zaczynam coś tam pisać. A ty?

– Ja nic. Wystarczy mi taka sztuka życia. Robić łyżeczką kształty w kubku kawy, patrzeć z balkonu na dzieci, nazywać je sobie w głowie, wymyślać o nich historie. Czasem daję różne nieprawdziwe ogłoszenia do gazet, ludzie dzwonią, a ja tam zmyślam dalej, oni się śmieją, denerwują, lubię to.

– Jakie znowu ogłoszenia?

– A różne, zwykle o podtekstach seksualnych, wtedy jest najwięcej telefonów.

– Czyli?

– Na przykład w stylu, że potrzebuję męskiej śliny, potu, nasienia do instalacji artystycznej. Raz zadzwonił nawet taki gruby pan z targu, poznałam go po głosie, bo kupuję u niego owoce. Nie spodziewałam się, że mógłby się odważyć. Był taki wstydlivy na początku przez telefon...

– Nieźle.

– Mówił, że chce mi dać wszystko, co najlepsze, że ma gęste wydzieliny – zaśmiała się. – Że chcę robić ze mną prawdziwą sztukę i ciągle tak słabo nawiązywał do seksu. Mówił, że da mi swój pędzel i tak dalej...

– Nie ma co się dziwić, dałaś im bakcyła do wygadywania takich bzdur.

– Żeby tylko poczuć szansę na to, że mogą się przespać z jakąś młodą dziewczyną, ośmieszali się i przestawali w siebie wierzyć. Czy to takie ważne?

– W pewnych konfiguracjach to sprawa życia i śmierci.

– I oni są tak dzień w dzień podnieceni?

– Nie wiem, ty jesteś specjalistką. To z kim teraz żyjesz?

Zamilkła na chwilę. – Jest starszy ode mnie – zaczęła uderzać patykiem o ziemię ze zdenerwowaniem, chyba dlatego, że zapytałem. – Ale nie o bardzo dużo. Sporo pracuje, gdy wraca, jest zmęczony. Za dużo mówi o swojej rodzinie, samochodzie, jakichś pierdołach, które lecą w telewizji.

– No to nie rozumiem.

– Czułam się samotna, zawsze dobrze z kimś być. Zresztą bywa kochany, jeździmy sobie w weekendy w różne miejsca. Jest sympatycznie.

– Tak, a potem z nudów jedzie się szukać rzeźbiarza.

– Odczep się – wstała i zaczęła jeździć stopami w piachu i ziemi.

Poszedłem przed siebie. Spokojne unoszenie, wycieranie ścieżek, nocne śmiechy, machanie rękami, poszarpany, lecz wesoły marsz złapał małą rysę, z niej płynęła ropa, kilka małych zalewów żalu, jak taki moment przełamania płaczu, gdy same ruszają się mięśnie gardła i twarzy, wydaje się wtedy taki krótki zawodzący dźwięk, straszne wsobne kichnięcie. Usiadłem nad jeziorem, wsadziłem stopy, obserwowałem małe rybki esowato szalejące w wodzie. Chwila, chwila. To tylko cykl motywów, żadna chwila. Zbiera się na 23 lata życia, które spędziło się na słońcu. 23 lata z żółtą kulką. Jakiegokolwiek mówienie o chwili zniweczyli śląscy bardowie, pierdolić ich. Tak, oczywiście, podnosiłeś miecz, biegałeś z apteczką, chowałeś się za gruz, tak żebyśmy mogli się chwilę pobawić w chowanego. Trochę w miastach, brudnych klubach, wytartych ścieżkach, w głuchych lasach. Pierdol się. Kultura ksero nastawiona na przeszłość, której i tak się wstydzi, bo przypomina o tym, że już niedługo tylko odbicie mord na kartkach, galeria policyjna, dwa zdjęcia w portfelu, odbicie na chuście czy całunie długowłosego rzezimieszka. Każdy z nich, z chaty miałby lepsze ksero, bardziej zmęczone oczy, oblepioną i zabitą twarz. Czy on tam siedzi w tej norze i całuje ziemię?

Usłyszałem kroki, dotknęła zaraz pleców, oplótła ręką szyję. Usiadła obok, zaczęła moczyć stopy, glinę splukiwały w palców fale wody.

Rytuał

Leżałem z otwartymi oczami i patrzyłem w sufit. Przylepione do mnie ciało podróżowało z pocałunkami, też czasem wybierałem się w podróż rękami, które zdobywały kolejne przystanie i spalone słońcem zakola. Chinka leżała oddalona, skopała wszystkie koce i wystawiała języczek w ciemność, chyba pluła w noc. Drewniana chata oddawałaienne ciepło, podniebny tartak produkował wieczną tarcicę, zapach korników i ich wielkich autostrad. Pewnie już niedługo. Najpierw zwali się strych, Rączka spadnie z czule pilnowanymi skarbami, dachówki spłyną jak lawina, drewniany szkwał zdmuchnie wszystko do ciepłego jeziora, gdzie ukrywają się już nie takie pamiątki historii.

Ktoś wszedł chwiejnie do chaty, szukał czegoś po omacku, rozkładał ręce i nogi jak pajak, oplatał kolejne metry lepką siecią.

– Kto tam? – syknąłem.

– To ja, szukałem cię – odezwał się Druh.

– Czego chcesz?

– Chodź ze mną, mamy coś jeszcze razem do załatwienia.

– Nigdzie nie idę, człowieku.

– Chodź, nie pożałujesz – zbliżył się już i trącał mnie lekko po ramieniu, podawał koszulę.

– O co ci chodzi?

– Chodź, musimy iść w noc.

Pocałowałem kilka razy Anię i chciałem się ruszyć, ale trzymała mnie mocno, jak macki nieznanej rośliny. Zostań, zostań mówiła jakby przez sen. Delikatnie oswobodziłem się z jej ciepłych pułapek i cicho na klęczkach wyszliśmy na ganek.

Szliśmy po suchej trawie chyba na razie nie żałujesz, że mnie spotkałeś Druh gadał w ciemność.

– Nie żałuję.

– To chodź, chodź, możemy mieć więcej.

Wyszliśmy przez furtkę, zatopiliśmy się w piachu. Drzewa sterczały jak zawodnicy, czarne olbrzymy czekały na nasz ruch, ich ręce chciały nas złapać, przytulić trochę za mocno, wsadzić do dziupli, a w niej zmumifikowałyby nas pająki nocy, wisielibyśmy na gałęziach w wielkim polipie, od spodu łapy piachu bujałyby nas jak na hamaku, huśtawce.

Wchodziliśmy w głębinę, Druh świecił tylko małą latarką, która zabierała nocy mikry plaster, pokazywała niepotrzebne, natura nie mogła potraktować jej poważnie. Szept ptaków, odskakiwały małe zwierzęta, leciały przed siebie, wygnane przez głupców z małym elektrycznym kagankiem. Piach wiązał nogi, czasem kępy traw, ostatnie błota, kilka kamieni, przezroczyły mech. W oddali zaiskrzyło się niebieskie światło.

– Tam jest! – krzyknąłem.

– Tutaj chyba nie chodzi o to światło.

– O czym ty gadasz?

– Już niedaleko.

Kolejna strefa lasu, groźna rozdziawiona morda, wieczny pomnik w ruchu, krogulec siedzi na którejś z gałęzi, obserwuje, kamień sływa po korze, pęd łapie za nogę. Promienie środka, olbrzymi liść, na nim zwierzęta, niebieskie światło umknęło w dal. Mrówcze kopce, nieustanny ruch, dla nas tylko scenografia, schemat działań został ukryty, już dawno zapomniany. Bezszelstne bicz gałęzi, olbrzymi dzwon lasu uderzał bezbarwnym dźwiękiem, oblepiał nocnym błotem. Gdy stoisz, zabierasz jedno miejsce ciemności, tam jej nie ma, i zostało ci tylko tyle, a reszta jak prehistoryczna zupa, czarna maska z oczami sowy, z języka kapie brunatna rosa. Wzburzony tumult w oddali, przebiegło kilka większych zwierząt, gęstwina powiększyła swe panowanie, ułożyła szlabany, wzięła dziwnego diabła na plecy.

– To tam – wskazał gdzieś ręką, latarka pokazała kilka pniaków, miejsce po ognisku. Weszliśmy w krąg, po kimś zostały kije, kupka kamieni, jedno z drzew było dobrze okorowane na wysokość ludzkich rąk. Na nim malunki, napisy.

– Gdzie my jesteśmy? Co to jest?

– Kiedyś to znalazłem. Ktoś tu musiał mieszkać, a może dalej miesz-

ka. Czasem tu przychodzę nocami. Czekam na niego. Może przyjdzie dzisiaj.

– Widziałem kiedyś człowieka we mgle.

– Ich jest chyba kilku.

– Weź – wystawił rękę z brązowymi nasionkami, gdy już siedzieliśmy na pniaczkach.

– Co to jest?

– Po prostu weź.

– Mów, co to.

– Bieluń.

– Pierdołę, po tym się można przekręcić.

– Na czym ci tak bardzo zależy?

– Być.

– Będziesz, przestań srać po sobie,

– Nie, nie.

– Bierz, człowieku, nie po to cię wzięłem z południa, żebyś się obsrał pod sam koniec podróży.

Gryzłem wolno gorzkie nasiona, obrzydliwy smak przechodził przez całą gębę, wchodził do nosa, zatruchiwał podniebienie i śluzówki. Druh się uśmiechał, zżerając swoje. Mała latareczka wbita w ziemię świeciła coraz słabiej, ale za nią pojawiał się księżyc, puszczając swój gorzki sprej na czubki drzew.

– Jak ty właściwie masz na imię?

– Gadasz sobie o mnie Druh od początku, mi to nie przeszkadza. Mam tam jakieś polackie imię i nazwisko, kilkanaście liter, ostatnie piękne, ski, wziąć to i wyjechać, wywalić na śmietnisko. Po osiemnastce właśnie w urzędzie odkroiłem sobie ski i imię zmieniłem. Ojciec się oczywiście darł, ski to nasza duma, jak mogłeś to zrobić? Jesteś jeszcze Polakiem? Ja mu mówiłem, że pierdołę jakiś kraj za siedmioma górami, gdzie wszystkich, którzy mogli coś znaczyć, wybili ci źli, a jak nie, to sami się wyrzynali, a jak został jakiś godny, to trzeba go zaszczuć, zajebać, sprowadzić do wspólnego smrodu. Nie zależy mi na kulturze popłuczyn, jesteśmy jak kapusta w misce, a wszyscy po nas depczą.

– Przestań, nie jest tak źle. Nie chcą cię na jednej ulicy, jest druga. W jednym mieście nie, to skacz do innego. Trzeba coś tam robić i się specjalnie nie przejmować, co tam na zewnątrz się wyrabia. Ja tam nie czuję, żeby jakiś polski golem na mnie czyhał.

– Weź, jest źle i tyle, podłożyłbym bombę pod ten gnój.

Latarka zgasła, zasnęła nas ciemność, tylko księżyc próbował oświetlić czubki drzew, wlewał się między krzewy, czasem liznął piach. Poczuję suchość w ustach, ręce się zwolniły, pobawiłem się ich nowymi możliwościami. Słyszałem ruch gałek ocznych, cały las jakby malał, aby za chwilę mieć wielkość wszechświata. Siedzieliśmy dalej na pniaczkach, złapałiśmy się za ręce, żeby się nie zgubić.

– I co ty tu właściwie robisz w polackim lesie, co? – spytałem jakby innym głosem, to już nie było tak naturalne, że po prostu dźwięk wchodzi i wychodzi.

– Oni są inni – charknął. – Tutaj się da żyć, poza tym narozrabiąłem tu i tam – usłyszałem jego głos z innej strony, jakby było ich dwóch.

– Co zrobiłeś, mów?! – krzyknąłem, żeby przebić się przez skorupę.

– Cały swój dom rozjechałem, jak rodziców nie było, kasy dużo ukradłem, ukradłem, ukradłem...

Zgęstniała ciemność, tablica Mendelejewa, na niej 200 przykazań, przykazań wbicia w formę, stworzenia czegokolwiek, pyłek rozplywa się w szklance, szklanka upada, turla się po koronach drzew. Byłem gdzieś indziej, Druh mówił z oddali, drzewo się ku mnie wygięło, piasek bełtał się w płucach, suchy marazm, czternaście rozbojów na pustyni, leżał na kamieniu Szymon Nisterloy. Taksówki wzbijały kurz, pniak mocno wbił się w tyłek. Głosy mew, w głowie rzeźba z wielkim nosem, przejazd po kamiennej ulicy. Wypowiadałem coś, ale pryskało to jak płyn do mycia szyb, tlen rozbity w szkło, Madame Tissot, znaczki Citroena padały z nieba. Czerń jakby przeszkłona, czereśnie, reklamują nowy odpestkiwacz, uśmiech mizantropa, runo leśno, łono leśne, Murzynka na sankach jedzie ze wzgórką łonowego. Poczuję uścisk Druha, ble, ble, ble gadał mi ciągle na ucho. Gdzieś w kącie oka niebieska łuna, brzydka twarz. Diabelskie nasiona turlały się z gór, zatrzymały się na nizinach, jak to zamo-

czyć się w ziarenku piasku? Jeść bakterie wielkości mamek. Osadzają się w mosznie, już 102 kilogramy. Cienie pływają, kot iska, chce iść na północ. Noc jak wyplukiwanie złota w czerpaku, uderzenie w dywan trzepaczką, atak na muchę, lep przyklepiony śpiącym więźniom na oczy. Poczujęm, że jestem w drzewie, część ciała została na pniaku, nasze wątroby się połączyły, oddychaliśmy jednymi płucami wraz z ciemnością, lasem, jeziorem. Wspomnienie, gdy w lesie leży tektura, wypłowiałe opakowanie po mleku, przetnij rąbek, płynie do garnka, gaz wybucha, dwa bąble, słabe ciśnienie, woda to tylko 98 stopni, próbówki wypadają przez okno, toczą się. Druh zniknął, turlał się na młynku razem z Chińczykami. Zepsute ząbki traktowały kolanko. Wbijały się w mózg, tam zawartość jak w grzybie, nic więcej. Mały wąż przebiegł pod nogami. Miał nogi muchy, marzenia dostały urlop macierzyński, w oczach toczy się Puszkina, lot przez ciemność. Czubki lasu, tam paskudny księżyc, niskie łąki, rozmawiamy o psim polu. Dotknięcie ręką Druha i wiesz jak rozwaląłem to mieszkanie, siekierą, dokładnie. Rozjechałem... siekierą... meblościankę... mojej starej. Czujesz to? Czujesz to? Robaki już w trumnach, w trumnach z wielkiej płyty. Spływają po marchewki windami prosto do piekieł. Szatan stworzył coś na swoje niepodobieństwo, takie odbicie odbić jego głupiej idei, gdy był jeszcze w szkole marynarki wojennej. Odlepił się ode mnie, zaraz złapał za rękę.

– Chodź, chodź w noc!

Nogi wywracały się w lepiałym piachu, gałęzie tryskały magmą, suchość z ust wypadała pod nogi jak odbyt, drużyna żyletek założyła w głowie obóz Mung Tai. Znów niebieskie światło, daleko obok księżyc. Ruch roślin, rosły tej nocy, gdzieś cudowne ziele księstwa Xing. Druh upadł, podniosłem go.

– Co my tu robimy? – krzyknąłem.

– Nie wiem – wycharczał, tocząc się po mchu.

– Gdzie my jesteśmy? W Borach Tucholskich?

– Chyba cię pojechało, na północy.

Uderzyłem w drzewo głową, zatoczyłem się. Czarny kozuch z mleczka prosto dla kózki, otwiera pyszczek, który to już odpalony motor i pę-

tła. Glitch and Glatch, dwóch chłopaków w domku zrobionym z tekturowego grzyba. Promocja na trzy tysiące lasów. Pęd przez bór, pod deskorolką toczą się cztery kiwi, wyjście z ciała, ono gdzieś jest indziej, zaległo w bajorku, tłoczy się w kolejce z naturą, kupuje za żółędzie więcej mocy i umiejętności zielarskich. Z nieba płynie Clint Eastwood na wózku tak tylko ubarwiam sobie życie. Chipsy w kształcie Nepomucenów. Krzyż ulic, ktoś przejeżdża po sobie oponą, jest już uświęcony. Przeraziła biel, osa pisuarem, w niej skisłe mleko z tubki. Wielka twarz w wodzie, dmucha wiatrami, pomost coś jak drzazga pod paznokciem, dachówki, skacz po nich, za każdy taniec jest punkt, punkt odbioru żywności. Piaskowa powódź, daj mi czółno.

Leżeliśmy w mchu i ruszaliśmy łapskami. Druh krzyczał. Pod nami wielki sucharek, usunięta pępowina, brudny oddział, klapki pielęgniarek suną po naszych brodach. Kij w mrowisko, mrowisko w miasto, miasto w morze. Górski moron. Fałdowanie niealpejskie, fałd czołowy, meksykański gracz, tuczno zapaśnicze, łuczywo niczym strzał, lot, coś dobrze mija drzewa, nie ginie przy dotknięciu bańki, bańki wstydu, bańki miodu, bańki miłości, bańki przeraźliwe, banki, włóż tam złoto, daj nasion. Biegnij, dziewczyno, biegnij. Ty też biegnij, Dumala, ksiądz psuje most przed pędzącym diabłem. Phillip Bang. Druh obrócił się do mnie, wypiął strzałę języka, zaczął gadać. Nic nie słyszałem, powódź głupich słów.

– Widziałem go, widziałem go, przeszedł obok mnie, masz rację, miał niebieską pochodnię, takie wielkie niebieskie światło. Spojrzał na nas i ruszał ręką na zachętę. Dwóch chłopców w małym lesie, dziadek mówi nam, abyśmy szli. To niebieskie światło. Musimy iść za nim.

– Gdzie jest? Gdzie my jesteśmy?

– Na rozgrzanej łyżeczce, trzeba nam po prostu spokoju. Widzisz swój dom w przyszłości? Obróćmy zasady tej kultury, patrzmy w przyszłość? Co? Też chcesz mieć dywan? Kanapki szykowane na wycieczkę dzieciom? Odpływ i brud w wannie?

– Nic nie widzę, nic nie widzę, chcę tylko dużych przestrzeni, w nich będzie mógł pływać prawdziwy duch, gdy żyjesz w komórce, to masz w głowie komórkę, to przecież proste.

– Chodź za nim, bo się obrazi, chce nam coś pokazać.

Wstaliśmy chwiejnie, trzymając się siebie, obraz się rozpląwał, jeszcze ta cholerna mgła, tym razem zimna. Rzeczywiście gdzieś było niebieskie światło, igrało sobie, może wzywało. Olbrzymi pieniąż przed oczami, stara moneta, słoneczny talar. Zmrugałem ją. Ciągłe bliżej i bliżej. Daj jeszcze bliżej. Przesuń drogę. Już jesteśmy tam daleko, na czerwonym dywanie, jęczyczu prawdy, jęczyczu u wagi. Strzał paznokciami, przecinają skroń, niebieskie światło coraz bliżej. Las przeszła luna, księżyc zasłonił się rękawem. Niewielka łąka, niebieski gong przeszył uszy. Wsiąknęliśmy głęboko, poorana twarz, górnicze ręce dotykały nas powoli. Co tam chłopaki, co tam.

Wir, małe tornado, niebieskie członki, przepelnienie, jak wlanie szklanej wody pełnej detergentów. Wracajcie już chłopaki, wracajcie, nic tu po was. Jesteście trochę śmieszni, ale tym razem was uszanujemy, chcieliście czegoś. To już się ceni. Wracajcie tam, gdzie wam najlepiej. Już będzie dobrze, rano przywita nas rosa, potem mżawka, porządnie się rozpada. Wieczorem ukołysz nas pioruny. Człowiek wziął do ręki czaszkę, przyłożył ją na wysokość księżyca, do każdego z oczodołów wsadził jajka, na których namalowane były krople deszczu.

Biegliśmy w pędzie przez głuchą noc. Obraz wracał do normy, suchość została zalana pierwszymi uderzeniami śliny. Pulsujące serce, zapachy lasu. Druh wsunął mi znowu rękę w dłoń jak mała dziewczynka. Sapaliśmy, długie susy, pierwsze ślady dnia w oczkach drzew, szarej korze. Zatrzymaliśmy się na chwilę, połykanie racji powietrza, tlen grał na dzwoneczkach płuc. Prześwity lasu. Dziwnych kilku ludzi. To chyba oni ktoś krzyknął. Uderzenie w głowę. Próbowaliśmy się bronić, ale zabrały nas poranne ciosy. Potem tylko palce żłobiące w piachu, dotykane zimnego mchu, zegarów rosy. Pierwsze krople spadły na rozgrzany gościniec, piach przyjął piegi, chmury stłoczyły się gęsto na nieboskłonie.

Deszcz

– Takie chojraki, a nie potrafią się obronić przed chłopakami z wioski
– śmiał się Buda.

– Spadaj, człowieku, byliśmy zrobieni – sapnął Druh, gdy leżeliśmy na ganku, a Ania i Chinka ze śmiechem próbowały naprawiać zniszczone twarze.

– Nie mieli auta i strzelby – chichotała Ania.

Deszcz kropił mocno, żywił trawę, rozdawał szuwały i wpuszczał im do pyszczków drogocenny płyn. Krople grały na jeziorze, ciche plumary przy dotknięciu każdego pola, każdego wodnego klawisza. Niebieskie linie uderzały w piach, w glinę, tworząc bąble, nawadniając podziemne rury, dodając przezroczystych partii do globalnych zaskórników. Spirytus wgryzł się w ranę pod okiem. Syknałem.

– Spokojnie – pogłaskała mnie Ania.

– Pamiętasz coś? – szepnąłem do Druha

– Niewiele, rozdawałeś mi się, troiłeś w oczach, uciekałeś w las, no, i niebieskie światło, jacyś ludzie.

– Nie mam pojęcia, co było, a co nie.

– Na pewno nam ktoś dał w ryj, tyle wiem.

Deszcz się wznagał; płynne sople, dziób chmur, kłębiących się bułek, białych koców, czarnych koszul, miksu jak w olbrzymiej szklance, bulgoczyn białka. Zapach parujących traw, wreszcie mokrej żółci, bieli, zielni. Błoto tworzyło się tu i ówdzie, niektórzy ślizgali się na podwórku, bo zapomnieli, jak to właściwie jest. Choć niewielu wyszło chłonać wodę z nieba, ciekłą manę, może manę, niebieskie płatki, kapsuły, rozpryskujące się na ramieniu tysiącem części. Ania położyła się obok, leżeliśmy na starym, wytartym ganku, słuchając muzyki deszczu. Szumiał jak koniec nadawania, ścieranie nożem łuski z ryb, a słońce prysło jak bańka, wróciło do jaskiń, piramid, tam je chwala, przybijają pieczętki istnienia.

– Podśluchałam ich rozmowę i jeden z nich mówił, że powinieneś powiedzieć mi, gdzie jest Ogierek – szepnęła mi na ucho.

– Nie mam pojęcia.

– Mówili, że wiesz. Każdy tu wie, tylko nie ja. Co to za tajemnica?

– Nie ma żadnej tajemnicy, uciekł i tyle. A co chodzi – tak bardzo tęsknisz?

– Już nie tak bardzo, ale bym go zobaczyła. Może to już bardziej formalność.

– Nie wiem, gdzie on jest, naprawdę.

Leżeliśmy, deszcz narastał i zwalniał, wyhamowywał tor, dodawał try-sków wypadłych z podniebnego sita. Szarych fal, buzujących, smagających lasy, wypuszczających podmuchy nawałnicy, smagnięcia wiatrów.

– Będą gromoty dzisiaj, przyjdzie twój brunatny kot.

– Skąd wiesz?

– Tak mi się wydaje.

Zapach deszczu wszedł niepostrzeżenie w nozdrza, rozszalał się tam, dosięgnął płuc. Szklane potoki płynęły do jeziora, znowu je zapełniając, dodając oddechu, napełniając wilgotne brzegi.

Na ganek wbiegł Rączka.

– Strych mi przecieka, musiałem zejść.

– Ratuj książki, chłopie.

– Co tam po nich – wtrącił się Buda. – Niech cholera moknie.

Rączka usadowił się w kącie, reszta też powoli wracała. Zmokli mocno z własnej chęci, napili się deszczówki, mokre włosy lepiły się do opalonych czaszek, mgiełka unosiła się nad chudymi ciałami.

– No to co? Ktoś może coś opowie – zaproponował Buda, ale przerywały mu krzyki z oddali. Kilka osób poszło sprawdzić sytuację, ślizgali się na mokrej trawie i rozbitej ziemi.

– Jakaś banda przyszła, właśnie któryś z nich rozjechał lusterko! – krzyknął jeden z przyjaciół. Tłumek się zebrał.

– Tylko nie mój samochódzik! – Ania mężnie wstała. Chcieliśmy ruszyć z Druhem, ale nas przytrzymała i zostaliśmy sami we dwóch. Dwie pobite, zmarnowane kury z mgłą na oczach. Patrzyliśmy w swoje ręce, ale

falowały od czasu do czasu. Widzieliśmy dobrze tylko na dalekie dystanse. Gwar, krzyki, przekleństwa. Okładali się i wyzywali przy płocie. Zebrałiśmy się z Druhem i wyjrzeliliśmy za domek. Jedni naparziali drugich kijami, Buda tłukł kogoś butelką. Jeden z wioskowych skakał po dachu auta. Kopnął kogoś w twarz.

Deszcz się wzmocnił. Pierwszy grzmot przeszył niebo, rozerwał skórę nad lasem. Ściany deszczu odcinały nas od widoków przy płocie, a oni turlali się jak dzieci, ciągnęli się za włosy, uderzali kijami, ktoś gromił nawet paletką. Brązowa brać muśnięta słońcem, oddająca jego energię, popiół, spaloną skórkę kontra szarzy ludzie z grymasem na ustach, ciskający krzywego papierosa w kałużę, z kaloszami na nogach, twardym, słomianym przekonaniem w głowie.

Spływali po błocie, ciskali owocami pięści prosto w miękkie twarze. Zgraja psów w kłębowisku, dymku jak z bajek. Drugi grzmot wałnęła z nami, poczuliśmy cierpką elektryczność, która przyszła na liniach wody. Wodospad, ocean spływał nam po głowie. Ania uciekła z kłębowiska, pośliznęła się obok nas, podnieśliśmy ją.

- Auto mi rozjebali, skurwysyny!
- Spokojnie.
- Nie spokojnie, po co ja tu przyjechałam, ja pierdolę!
- Chyba po tego pojeba z szopy!
- Gdzie on jest?! – wydarła się histerycznie.
- W norze pod szopą, mam nadzieję, że tam zdechł!

Popędziła, wywracając się w potokach wody, bo trawa stała się ślizgawką prowadzącą przez korytarz błota prosto w szuwały. Spojrzeliśmy na siebie z Druhem i zaczęliśmy ją gonić. Wywróciłem się długim ślizgiem i wpadłem w błoto. Deszcz przypominał wielką oleistą kroplę. Chciałem wstać jak biegacz na sto metrów, ale robiłem niesprawne młynki w czarnym płynie. Ania w oddali waliła pięściami w szopę. Druh chciał ją uspokoić. Dobiegłem do nich.

- To nie ta szopa, chyba!

Wpadliśmy do drugiej, trzeci grzmot, najbliższy, ktoś wywrócił się przy wejściu. Zapach deszczu i brudu, szarość wciskała się przez szpary

desek. Wziąłem siekiere i zacząłem walić we właz. Narzędzie wchodziło w stare deski, rozszarpując drewno, gryząc listwy, sęki, wreszcie kłódkę, żelazny zatrask. Wpuściłem się w krótką i wąską szyję wejścia, było bardzo nisko. Zjechałem na mokrych, ziemnych schodkach. Szarość, popielate cienie, smród, kawałki jedzenia, miękki papier.

Dyndał na kłęczkach, twarz odeszła dawno, zanurzona w zieleni, sińców. Zapadnięte policzki odkształciły się, wyglądał jakby zamarł w wielkim grymasie, kaszlnięciu. Lekko się bujał kierowany podziemnymi wiatrami, niewidzialną robaczywą królową. Oczy patrzyły niewiedomo gdzie, w dal, przed siebie. Nieruchome i szklane, w nich mógłby padać śnieg. Mały pająk wyszedł mu z ust.

Odkrztusiłem rzygowiny, wdrapałem się do szopy.

– Nie wchodzi tu! – zacząłem wypychać ją z pomieszczenia. – Nie masz prawa tam wejść!

Złapał się ją z Druhem. Spadliśmy w trójkę w deszcz. Kolejny grzmot przelał się tuż nad naszymi głowami, oświetlił żółcią, zaatakował szybką dłonią, piekielnym paliczkiem, cuchnącą elektrycznością, bulgoczącymi kroplami. Turlaliśmy się w błocie. Darła się poprzez płacz, gryząc nas w ręce i brzuch. Trójka szalonych zmokłych psów pod olbrzymim wiadrem, wodnista kulą, wilgotnymi cięciami, łżą, która waliła w łeb jak łopata.

– Co z nim?! – wydarła się, jej pisk trysnął po łące, aż zabolowały uszy. Trzy głupie ryby walące ogonami w trawę, toczące się po błocie, gramolące się w gównie, drepczące w idiotycznych spazmach, z lepiącymi się ubraniami, brudnymi twarzami, włosami zmokłymi jak najbrudniejsza ściera obwinięta wokół miotły.

Oswobodziłem się. Zacząłem iść w kierunku pomostu. Pierwszy stopień przyjął stopę. Druh chyba zatrzymał Anię w niemym szaleństwie. Następny stopień, szedłem powoli. Jeszcze tylko rozerwanie chmur, przeźrliwa biel, spocone nieba, przejazd noża przez lepkie powietrze. Zrzuciłem koszulę i wskoczyłem na główkę do wody.

Jezioro mnie przyjęło. Kłębowa roślina, spokojne ciepło, oczy ryb, jedna bardzo długa sunęła obok mnie. Brązowy bajzel, wyważona sepia.

Odpowiedni oddech, wiele baniek toczących powietrze, małe kamyczki, zielone dłonie rurek. Ruszałem rękami, napełniło mnie coś, w oddali widziałem olbrzymią twarz. Uśmiechała się wytwornie, nie pozwoliła sobie na grymas. I co teraz? Spadnę nago na swojej kamiennej uliczce? Co teraz będzie?

Płynąc przez brąz, niewidzialność, w wielkiej muszli, dłoni, zachłannej błonie. Dwie ryby pierdnęły mi w twarz. Wodny kurz, odbicie wszystkiego, konstelacja pod soczewką, olbrzymie oko ruszające się w poszukiwaniu światła. Pająki wodorostów, nogi ludzi, ich powozy, pęd ku czemuś, odgadywanie zagadek życia, rozwiązywanie haseł, rebusów, zajmowanie nowych mieszkań, ruch szablą, później szuflą, tynk uwiera cegłę. Idą gdzieś w pochodzie, brązowy marsz, na nogach łypcie z kory, kostki owinięte bandażem. Uśmiech młodych zakochanych, łapią do ust kurz. Znów wielka twarz, wpatrzone we mnie monstrialne oczy, w nich odbicie suma, jego wąsy przyjeżdżają po łydcę. Otworzenie pierwszy raz okna wiosną, wpada ciepłe powietrze. W płucach powolny koniec, zapadanie się, krew puka w sercu, puka do dolnych bram pęcherzyków, do bram raj. Widok się zawężył, uśmiechy ludzi, ptaki spokojnie spływające na ramiona, ktoś je karmi zbożem. Zapraszające ręce, jedna z nich pisze kałamarnicą. Olbrzymia biblioteka, dróżka, kiść winogron, srebrne patery. Dotknąłem ziemi. Szedłem na klęczkach, poczułem kawał powietrza, woda się skończyła. Wciągałem haustami wilgotny tlen. Wygramoliłem się, dosięgłem zimnej ziemi, szedłem na kuckach. Deszcz mył plecy, odganiał nieistnienie. Wstawałem powoli. Olbrzymi grzmot tuż koło uszu, rozłożył się chyba w małym jeziorze. Wrzucałem swoje ciało w las. Przebijałem się przez barierę.

Szedłem, szedłem spokojnie. Korony drzew chroniły przed deszczem. Szarość prowadziła mnie przed siebie, pozwalała wystawiać nogi, ustawiać ją w odpowiednim ruchu, prowadzić dalej, kiedyś pokonać zagrodę z drzew. Szedłem, szedłem spokojnie. Zamknąłem oczy, wziąłem łyk wilgotnego powietrza. Ciepły gar wrzątku rozlał mi się w sercu. Szedłem dalej uniesiony, o coś chodziło, przyjemna muzyka znikąd, kolejny krok, kolejny krok, to nie jest takie trudne, iść, iść jak każdy.

Spis treści

Dotrzeć do Nowej Rudy	5
Wyprawa na targi	10
Uciekaj, człowieczku, uciekaj	15
Jazda na północ	19
Miejsce	25
Ognisko	29
Ogierman	35
Mgła	40
Telefon	44
Rączka	50
Kobieta	56
Jezioro	62
Strzały	70
Sen Chinki	75
Słońce	81
Rytuał	86
Deszcz	93